GONIEC ŁÓDZKI

Dziennik polityczny, społeczny i literacki.

Wychodzi codziennie o godz. 8-ej rano nie wyłączając świąt i niedziel.
Redakcya i Administracya, Zachodnia 37.
Administracya otwarta od 9 do 1 popoł. i od 3 do 8 wieczór. Redakcya czynną jest od 12 do 2 w południe i od 7 do 5 rano.
Telefon 253.

Prenumerata w Łodzi wynosi: Rocznie rb 6, półrocznie rb 3, kwartalnie rb 1 kop 50, miesięcznie kopiejek 50. Za odnoszenie do domu kop. 10 miesięcznie. Na prowincyi rocznie rb. 8. Za granicą rocznie rb. 12.
Numer pojedynczy kop. 3.
Cena ogłoszeń: 1-sza strona 50 k. za wiersz lub jego miejsce. Nadesłane 50 kop. Nekrologi i reklamy 15 k. Ogłoszenia zwycz. 7 kop. Drobne ogłoszenia 1½ kop. za wyraz.
Dla poszukujących pracy znaczne ustępstwa.

Agentury: w Warszawie: Biuro ogłoszeń **G. Ungra i L. i E. Metzl i S-ka**; w Pabianicach, Księgarnia **Ed. Keila**.
Rękopisów nadesłanych redakcya **nie zwraca**. Za artykuły nie oznaczone z góry ceną, honoraryów administracya **wypłacać nie będzie**.
Adres telegraficzny **„Łódź Goniec"**.

Ogłoszenia przyjmuje również Biuro Dzienników, Piotrkowska № 103.

Niedziela dnia (5) 18 Grudnia 1904 r.

NADESŁANE.

Zwracamy uwagę Szan Czytelników naszych, na znanoz dobroci wyroby Włoch. Fab. było Bohnego i Co. szczególnej zaś na „Bohnego karlsb. domieszka do kawy.

349 (verte)
№ 348. VII.

GONIEC ŁÓDZKI

NUMER GWIAZDKOWY.

Gwiazdka.

Wyszła gwiazdka na lazury,
Pierwsza gwiazdka promienista
I na ziemię patrzy z góry,
Taka jasna, taka czysta.

Dookoła leżą śniegi,
Jak srebrzysty dywan biały,
Nagie stoją drzew szeregi,
Świat w milczeniu zastygł cały.

Lecz, gdy gwiazdka na błękicie
Zajaśniała światłem złotem,
Dziwna radość, dziwne życie
W kół sfrunęło chyżym lotem.

I w stroskanych sercach ludzi,
Pełnych smutku i boleści,
Coś się rodzi, coś się budzi,
Coś im wielka radość wieści

Oto Pan się na świat zjawił
W cichym żłobku, w szopie lichej,
By cię podniósł, by cię zbawił,
By od czarciej zwolnił pychy.

I wyciąga święte ręce
Do ludzkości mknącej w dali,
Sam na krzyżu umrze w męce,
Lecz tą męką świat ocali.

Świeci gwiazdka na lazurze,
Promieniste blaski sieje,
W oczach łzy się rodzą duże,
Wywołane przez nadzieję.

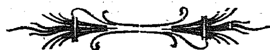
Łzy wzruszenia, łzy radości,
Łzy bratniego miłowania,
Oto wielki dzień miłości
Z mgieł ponurych się wyłania.

Siedzą blizcy po za stołem
I opłatek łamią biały,
Z jasną myślą. z jasnem czołem
Szczęsnej duszy ślą chorały.

A chorały w górze płyną
Po błękitów gwiazdnej roli:
„Łzy niech zginą, troski zginą,
Pokój ludziom dobrej woli"..

Or-ot.

Warszawa 14 grudnia 1994 r.



SEN DZIECKA O NOCY WIGILIJNEJ.

Pierwsza gwiazdka.

—[:]—

Cierpienia i bóle były zawsze nieodłącznymi towarzyszami ludzkości. Zawsze pragnęła ona się uwolnić od tych cierpień, zawsze pragnęła zostać szczęśliwą, choć nigdy nie była w stanie zaspokoić swych pragnień. I oto, od czasu do czasu, z pośród tych wszystkich cierpiących powstaje ktoś, co zupełnie zapomina o własnych bólach, a pragnie tylko przyjść z pomocą tym, na których cierpienia całe życie zmuszony był patrzeć. Tak powstawali wśród ludzkości mędrcy, którzy, zakreślając jej swe prawa, chcieli zaprowadzić taki porządek, który, podług ich mniemania, powinien był usunąć wszystko złe. Te nowe prawa zwykle ścierały się ze starymi zwyczajami i często prawodawca przypieczętowywał je własnem życiem. Ale im silniej stare zwyczaje usiłowały zdławić noworodka, tem szybciej wyrastał on

w olbrzyma, a ci wszyscy, którzy odczuwali jego dobry wpływ, nie mogli się powstrzymać od należytego uczczenia jego twórcy.

Jednak nie każda szlachetna dążność kończy się bez zawodów. Niejeden czyn z świętym zapałem wykonany, uronił zaledwie małą iskierkę tam, gdzie miał wywołać wielki pożar. I wówczas pozostało tylko pragnienie, by przyszedł wreszcie na ziemię ktoś inny, ktoś wielki, któryby wykonał to, czego dotąd nikt wykonać nie mógł.

Wielu mędrców miało społeczeństwo żydowskie, wiele razy ono odczuwało na sobie ich dobry wpływ, a jednak żaden z tych mędrców nie miał tyle siły i mądrości, by uczynić je szczęśliwem. I oto wzrok tego społeczeństwa zwraca się ku przyszłości. W tej przyszłości szukają żydzi gwiazdy, któraby mogła przewodniczyć im po drodze do szczęścia, a wielcy mędrcy twierdzą, że nieomylnie ona się zjawi. To cierpiące i spragnione szczęścia społeczeństwo chciałoby jaknajprędszego ziszczenia się tych przepowiedni, chciałoby jaknajprędzej oglądać tego, któryby odrazu zniesie i ucisk, i bóle, i wszystkich szczęśliwymi uczyni. Wierzą oni w przepowiednię, że przyjdzie na ziemię Zbawiciel, ale wyobrażają go sobie, jak coś, co z nieznanego dla nich świata, w którym tylko duchy przebywają, przyjdzie.

A tu w jakiejś szopie rodzi się dziecina w biednej rodzinie rzemieślniczej. Ta dziecina rośnie i wychowuje się wśród tego cierpiącego społeczeństwa, razem dzieli wszystkie cierpienia i trudy, ale jednocześnie przypatruje się życiu tego społeczeństwa i widzi, że chciwość i brak miłości bliźniego, to są największe przyczyny cierpień ludzkości.

I oto z tej dzieciny wyrasta w przyszłości mąż, który całemu światu robi zarzut, że nikczemne są jego prawa, nawołuje go do porzucenia tych praw, a natomiast sam formułuje wielkie i nieśmiertelne prawo: „kochaj bliźniego, jak samego siebie.“ I Ten, który wyszedł z biednej rodziny rzemieślniczej, w krótkim czasie staje się nauczycielem tysięcy. Z entuzyazmem słowo wielkiej nauki roznoszone jest po całym kraju, a następnie i po całym świecie.

Ale chociaż miliony zwolenników Jego nauki, chrześcian, od dzieciństwa uczą się tego prawa, chociaż wszyscy uznają je za wielkie i dobre, jednak zło, to samo zło, które Wielkiego Nauczyciela przybiło na krzyż, jeszcze ani na chwilę nie opuściło ludzkości.

Ta miłość, która powinna była już od dwóch tysięcy lat blizko wojnę zrobić nieznaną dla ludzi, ta miłość, która nie pozwoliłaby na żaden ucisk i wyzysk, ta miłość, która zniosłaby wszelkie zatargi i zwady—ta miłość dotąd jest tylko marzeniem.

I w oczekiwaniu ziszczenia tych marzeń z tęsknotą przenosimy się do tej chwili, kiedy świat poraz pierwszy ujrzał swego Wielkiego Prawodawcę. Dwa tysiące lat dobiega od tej chwili, a serca milionów na każde wspomnienie o nim silniej biją. Dwa tysiące lat dobiega, a jeszcze wiele rodzin polskich, by uczcić Jego wielkie prawo miłości, choć raz w roku na godzinę zrzeka się swej rzekomej wyższości i zasiada do wieczerzy wraz z służbą.

Trwał ciężki okres niewoli, panowały złe stosunki panów do służby, a jednak w wigilię, za ukazaniem się pierwszej gwiazdki na niebie, przebaczano sobie wzajemnie urazy i z uczczeniem pojednania i równości łamano opłatek wigilijny.

Tak się to stało, że ta gwiazdka, która świeciła przy przyjściu na świat Wielkiego Prawodawcy, a która codziennie miała przypominać ludzkości o Jego prawie,—że ta gwiazdka przypomina nam o niem zaledwie w wigilię święta Bożego Narodzenia.

W. K.

Z dobrą wieścią.

—o—

Na spowitą śniegiem ziemię
Niebo patrzy z chmur,
Ku stajence w Betlejemie
Mknie aniołów sznur...

Lecz, jak gołębi stada
Z pod obłocznych sfer,
Coraz niżej tłum ich spada,
Skrzydeł słychać szmer.

A przed nim i anioł biały,
Jak przejrzysta mgła,
Leci przodem, srebrny cały —
W dłoniach gwizdkę ma...

Od jej blasku tlą się chmury
I roziskrza śnieg,
Pieśń i światło płyną z góry
Aż po ziemi brzeg.

Pieśń i światło żywot nieci
W łonie skrzepłych dusz;
Klucz aniołów z wieścią leci,
Że Bóg schodzi już!..

Że na ziemię pod okową,
Skutą w twardy lód —
Pan niebiosów w noc zimową,
Zejdzie zrobić cud!..

I na każdą świata stronę,
Gdy podniesie dłoń,
Te rozłogi zaśnieżone
W kwietnią zmieni błoń..

A gdy spojrzy na przestworza
W mrokach w szarej mgle,
To rozbłyśnie Wiosna Boża
Przez grudniowe dnie...

I pokryje białe kwiecie
Ziemię wzdłuż i wszerz,
Tylko, świecie.. tylko, świecie,
Kochaj, ufaj, wierz.

Nie w Betlejem jednem przecie,
Wieszcza gwiazdo, świeć!
W sercach ludzkich Boże Dziecię
Chce swój żłobek mieć.

W duszach ludzi dobrej woli
Chce zejść, jako kwiat
I z nich w blasków aureoli
Błogosławić świat.

Lody skruszy, śniegi zmiecie
Z tych zimowych łez—
Tylko, świecie.. tylko, świecie.
Kochaj, ufaj, wierz!.

n

Moje freski.

Lubię wiosny lekki dech, ten skłębiony szum barw i tonów i woń zoranej ziemi, ale kocham jesień roztęsknioną w mgle i smutku. Przypomina mi twą twarz tajemniczą.

Lubię skrzydła myśli moich, rozpostartych kapryśnie w szalony orkan, ale kocham — tylko jeden atom myśli mojej, gdy wywoła mi na ustaj umarłe twe imię.

Lubię żałobnych oparów koronkowy długi zwój, ale kocham—te dawne obłędne drogi naszych marzeń, na szerokiej pustce życia.

Lubię wężowe błyski, bruzdżące pasy chmur, ale kocham — tylko jeden błysk—naszego przelotnego szczęścia.

Lubię słońca wschody przejrzyste w wielkiem rubinowem uwielbieniu, ale kocham —tylko tę chwilę, gdy ono pożarne, wpada w złotobłękitną jaśń. Tak wpieszczałeś się w me usta mdlejące.

Lubię burzanów ciche drganie w świetlnej pożodze nocy, ale kocham—ciemne bory, z tętnem głuchej pieśni w nieskończonej ciszy omdleń słońca. Tak drżała tytaniczna pieśń twoja.

Lubię świerki w podniebnym szlaku żywicą woniejące, — ale kocham te czarne rozczochrane wierzby nad smutną wodą, kiedy w akordzie granatowego zmroku śnią o królewskiem szczęściu. Tak śniła twa potężna dusza.

Lubię ognia kaskady szalejące w wirze przeczystych pragnień, ale kocham—wspomnienie twego purpurowego serca, utkanego z opalu świtu.

Lubię słońce, gdy włóczy po szarych wodach swe złote wiosła, ale kocham—tylko twe myśli wspaniałe. Złociły one niegdyś mą duszę bezsłoneczną.

Lubię jary wielkie, nabite skałami i mchem, ale kocham—mej duszy wnętrze zapadlisko. Tam utonął głęboki dźwięk twej rozkipionej pieśni.

Lubię wielkie moczary w oponie czarnej nocy śpiące, z błędnym ognikiem u czoła, ale kocham —wizyę twej twarzy, która niby ten ptak o płomiennym dziobie, żegluje nad mym snem.

Lubię muzykę i śpiew, ale kocham — wspomnienie szeptu i melodyi twych, rozkochanych słów, gdy mówiłeś tak cicho pieszcząco, to ci kwiaty wionęły z ust.

Lubię ogrom bladosrebrnych wód, gdy drzemią w pożarze ust słońca, ale kocham — wartki potok skalny, co huczy i jęczy nad milczącą przepaścią. Tak łamała się twoja dusza i utonęła w dzikiej żałobie nocy.

Lubię anioła potęgi i sławy, ale kocham —tylko tego cichego, który wiązał srebrną girlandą w przepastny uścisk ramiona nasze.

Lubię ciżbę świateł gorejących na szerokim świecie, ale kocham—tylko te gwiazdy w otchłani głuchego nieba, które rozświecały zaułki dusz naszych, w one przedziwne wieczory.

Lubię cichy lot lekkoskrzydłych gołębi, ale kocham — ciężki, popielaty szum orłów, zrodzonych na wirchu skalnym z pysznej walki zórz. Tak płynął twój geniusz.

Lubię letnie dnie z szeptem baśni słonecznej, ale kocham—ciemne, jak grób noce. To twe oczy czarne, kwitnące niegdyś smutną modlitwą ku mnie.

Lubię szalony gwar miasta, ale kocham —bezkres cmentarzysk, poprzez który płynie rozpłakany dzwon, niby to echo nienazwanego szczęścia naszego.

Lubię całe fale łąk ujętych w wonne kadzidła kwiatów, ale kocham wielki step, po którym przeszła wstęga pożarów. To moje spełzłe pustkowie dni, spalone żarem twej zniknej miłości.

Lubię patrzeć na piękne, dumne twarze, ale kocham ciągle—tylko twoją marmurową, bo ona rozkwitła z iskier boskiego ognia.

Lubię to moje życie rozwiane w mroku szarej pieśni, ale ukocham kiedyś i śmierć, ona to w obłoku szat przejrzystych, uniesie moje rozbite serce, krwawiące miłością Ciebie—ku Tobie.

Olga B.



Matka Boska Różańcowa*

*
* *

Gdy giniem życia strudzeni wojną,
Jako rozbitki na falach morza,
Daj nieszczęśnikom przystań spokojną,
O, Matko Boża!

Gdy schnie z tęsknoty, jak liche zielsko
Duch, co w błękitne rwał się przestworza,
Daj mu miłości rosę anielską,
O, Matko Boża!

Gdy przyjdzie straszna próby godzina
I może będziem iść na bezdroża,
Daj nam widzenie mąk Twego Syna
O, Matko Boża!

Gdy mdleją serca w nocnej żałobie,
A tak daleka poranna zorza,
Daj nam pociechę choć w śnie, choć w grobie,
O, Matko Boża!

Umiejmy wznosić stroskane czoła,
Umiejmy wspólną zdążać gromadką,
A Ty nam ześlij swego anioła,
O, Boża Matko!

Niech on nas strzeże wśród dnia i nocy,
Niech nas osłania tęczową siatką,
Duszom i sercom bądź ku pomocy,
O, Boża Matko!

Gr—ot.

Warszawa 15 grudnia

---

* Obraz **Wacława Przybylskiego**, umieszczony przed kilku dniami w kościele św. Krzyża, w ołtarzu bocznym, z inicyatywy ks. K. Szmidla.

Szpital dla dzieci Anny-Maryi.

Potrzebę szpitala dziecięcego odczuwano w Łodzi od bardzo dawna. Mówiono też i snuto projektów na ten temat ogromnie dużo. Przed kilku nawet laty jeden ze zmarłych obywateli łódzkich uczynił zapis 200,000 rb na założenie szpitala dziecięcego w Łodzi. Niestety, ostatnia wola testatora dotychczas nie została wykonana. Szlachetne zadość uczynienie palącej potrzebie przypadło w udziale komu innemu.

Nowy szpital, którego budowę niedawno ukończono, a który niebawem zacznie być czynny, posiada już swoją historyę. Zawiera ona dwa niezmiernie rzewne fakty, które właściwie zapoczątkowały tę piękną instytucyę. Jedną z pobudek było bardzo radosne, drugą — głęboko elegijne uczucie. Nie będziemy tu przytaczali owych faktów, lecz odrazu zaznaczymy, że idea budowy skrystalizowała się w inicyatywie dra Karola Jonschera, który podtrzymał myśl pani Emilowej Geyerowej, aby rozpocząć gromadzenie składek na budowę szpitala dla dzieci. Pierwszą nato prawdziwie hojną ofiarą było 10,000 rb., złożone wspaniałomyślnie na ręce dra Jonschera przez pp. Emilostwo Geyer. Była to poniekąd podwalina nowej instytucyi, ale nie więcej jak podwalina. Brakowało na mury, wiązania, słowem na gmach cały, który inicyatorzy chcieli, aby był postawiony odrazu na stopie pierwszorzędnej.

Gorące odezwy, najpierw dra Jonschera, a następnie komitetu pod jego przewodnictwem do społeczeństwa łódzkiego, odezwy, które i nasze pismo chętnie pomieszczało, sprawiły, że suma powyższa wzrosła, ale nie o tyle, aby módz przystąpić do budowy.

Już dawniej, mianowicie, gdy kosztem własnym wzniosła szpital dla Księżego Młyna znana z cichych cnót miłosierdzia dobrodziejka, pani Anna z Wernerów Scheiblerowa, w umyśle jej powstał projekt otoczenia opieką lekarską nietylko robotników dorosłych, ale i ich dziatwę. Projekt ten w części urzeczywistniono przez urządzenie kilku łóżeczek dla chorych dzieci w istniejącym już szpitalu Anny, wszelako dojrzał on dopiero, gdy pani Matylda z Scheiblerów Herbstowa, wniknąwszy w istotnie ciężkie położenie pracowników zakładów scheiblerowskich, którzy nie mieli literalnie gdzie leczyć wszystkich swoich dzieci, powzięła niezłomne postanowienie wzniesienia osobnego uzdrowiska. O tem pięknem postanowieniu wzmiankowaliśmy również w swoim czasie, jak i o tem, że postanowienie to poparł gorąco p. Edward Herbst.



Matylda Herbst.

I oto zbiegły się dwa projekty: wypieszczone przez panią Herbstową— budowy szpitala dla dziatwy robotników z fabryk, których jest współwłaścicielką i zapoczątkowany przez pp. Jonschera i Geyerów — budowy ogólnego szpitala dla dzieci.

Nadarzyła się sposobność połączenia tych dwóch projektów w jeden. Złoty most zarzucił dr. Jonscher, który, zastanowiwszy się, że najpiękniejszem uczczeniem pamięci ukochanej i jedynej, a zmarłej w pączku życia



ś. p. Anna Marya Herbst.

córeczki pp. Herbstów, ś. p. Anny-Maryi, może być właśnie szpital dziecięcy, zwrócił się do pani Herbstowej z propozycyą przyjęcia złożonych już ofiar i wzniesienia zakładu leczniczego dla ogółu, oczywiście dołączywszy uzbierany drogą składek fundusz, rzecz prosta, stosunkowo skromny, z sumą, jaką pp. Herbstowie przeznaczyli na szpital przez siebie projektowany.

Suma ta wynosiła krocie! Dość powiedzieć, że pp. Edwardostwo Herbst wyłożyli z własnej szkatuły 200,000 rubli.

Pani Herbstowa propozycyę przyjęła i stanął gmach wspaniały, gmach, który uwieczni pamięć fundatorów na kartach historyi Łodzi złotemi zgłoskami, gmach; który budzi uznanie wśród całego społeczeństwa, a w sercach dziatek, które doznają tam ulgi, dozgonną wdzięczność, opromienioną radością, że płoną szlachetne uczucia miłości bliźniego i tam, gdzie biedy nie zaznano, gdzie potrzeba pieniężna nie ma przystępu.

*

Jek wiadomo, naczelnym lekarzem nowego szpitala jest dr. Józef Brudziński, którego przyjazd do Łodzi poprzedziła bardzo dobra sława, jako lekarza chorób dziecięcych.

*

Na obszarze czteromorgowym wznoszą się okazałe gmachy w liczbie pokaźnej bo ośmiu pawilonów. Z tych cztery większe zajmują część placu przylegającego do ulicy Rokicińskiej, cztery mniejsze oddzielone od tych znaczną przestrzenią, przytykają ulicy Fabrycznej, stanowiącej tylną granicę posesyi.

Pawilon frontowy, pierwszy od ulicy Rokicińskiej to gmach administracyjny. Na parterze mieszczą się ambulatorya dla chorych przychodzących dużą poczekalnią, apteka i kancelaryą. Na pierwszem piętrze pokoje dla przełożonej, pielęgniarek, lekarzy, portyera i t. d. Od tyłu na parterze wchodzi się oddzielnem wejściem do t. zw. stacyi obserwacyjnej, składającej się z dwu sal, przedzielonych korytarzem.

Drugi pawilon przeznaczony jest dla chorych chirurgicznych. Wchodzimy na szeroki, długi, bardzo widny korytarz, wprost wejścia klatka schodowa na pierwsze piętro.

Korytarz biegnie wzdłuż całego gmachu. Na lewo od wejścia, w końcu korytarza znajdujemy się w sali ogólnej dużej, obliczonej na 13—16 łóżek, do niej przylega salka dla dzieci nieleżących w łóżku. Na przeciwległym końcu korytarza trzy sale: opatrunkowa, ortopedyczna i gabinet do rentgenografii.

Wzdłuż korytarza biegną separatki dla chorych, pokój dla dyżurnej pielęgniarki, pokój kąpielowy, pokój na bieliznę, gospodarski—kredens, i t d.

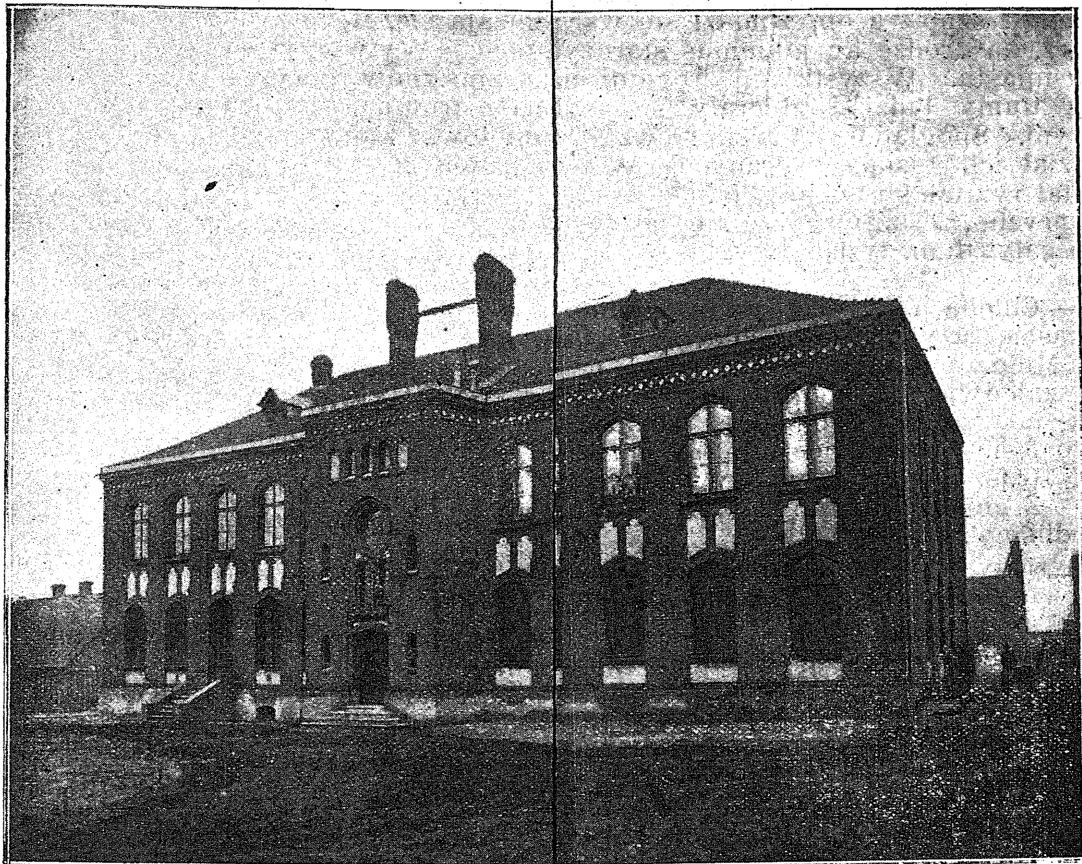
Na pierwszem piętrze taki sam rozkład, a więc: ogólna sala duża, z salką dla rekonwalescentów, oddzielne pomieszczenia jak na parterze, z tą różnicą, że są tam jeszeze dwia salki dła chorych na oczy i w północnem skrzydle, na końcu korytarza, trzy sale—operacyjna, przygotowawcza i sterylizacyjna, do których wejście prowadzi z korytarza poprzecznego.

Pawilon trzeci dla chorych wewnętrznych, w skrzydle północnem, posiada na parterze trzy salki i przedzielone od nich korytarzem! — pokój kąpielowy i klozet. Oddział ten, z zupełnie oddzielnem wejściem z zewnątrz służyć będzie jako izolacyjny. Na parterze, jak i w pawilonie chirurgicznym mamy dużą salę na 12 łóżek z salką rekonwalescentów z trzech stron oświetloną, pokoje oddzielne dla chorych, pokój dla dozorczyni, pokój na bieliznę, kredens i t. d. Na pierwszem piętrze druga sala ogólna, też same pomieszczenia co na parterze, pokój dla lekarzy, laboratoryum. W północnem skrzydle urządzone są trzy salki, wychodzące z poprzecznego korytarza, przeznaczone dla chorych natyfus, dyzenteryę W pawilonach tych sufity parterowe wykonane w konstrukcyi żelazno-betonowej. Ferbeton Ma) trai.

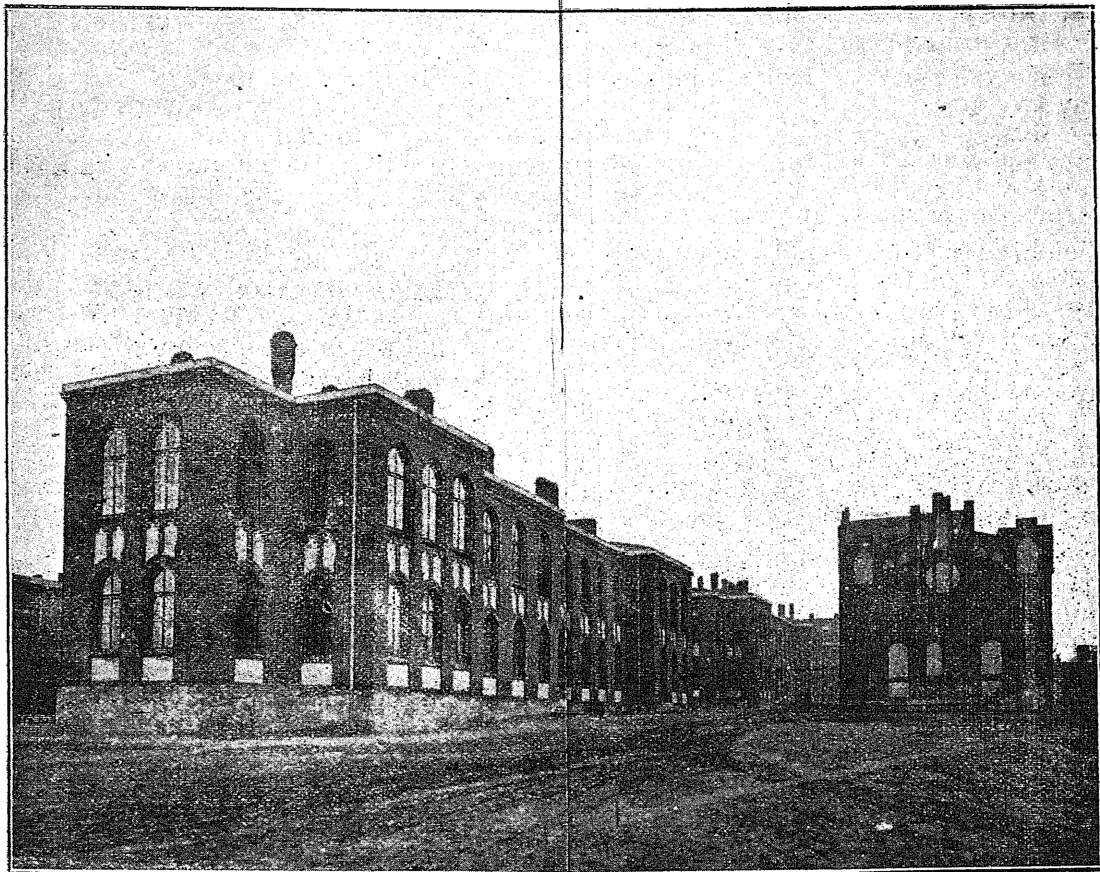


Edward Herbst.

Naprzeciwko pawilonów chirurgicznego i wewnętrznego znajduje się gmach czwarty, składający się z suteryn, gdzie się mieszczą kotłownie do centralnego ogrzewania pierwszych czterech pawilonów, motor do wodociągów i różne pomieszczenia gospodarskie



BUDYNEK FRONTOWY.



PAWILON BOCZNY

Na parterze są kuchnie, pokój do zmywania, pralnia, prasowalnia, magiel, sala jadalna dla służby, pokój dla gospodyni i spiżarka.

Do kuchni przytyka pokoik, połączony z nią tylko okienkiem, przeznaczony do odbierania jedzenia dla chorych infekcyjnych i mycia naczyń z pawilonów infekcyjnych. Pokój ten ma z zewnątrz zupełnie oddzielne wejście. Pierwsze piętro składa się z pięciu dużych sal, przeznaczonych w części na skład bielizny i ubrania, w części na mieszkanie dla służby. W gmachu tym mieści się na poddaszu zbiornik wody i góra do bielizny.

Opisane gmachy dzieli pewna przestrzeń, na której założone będą plantacye, od następnej grupy gmachów. Na granicy natrafiamy na parterowy budyneczek, który mieści kotłownię do centralnego ogrzewania pawilonów infekcyjnych, dwie salki dezynfekcyjne, każda z zupełnie oddzielnem wejściem i pokój kąpielowy dla dezynfektora.

Gdy się skierujemy na lewo od tego budynku w głąb terytoryum, oko nasze spocznie na dwóch parterowych, stojących jeden za drugim w pewnej odległości pawilonach, przeznaczonych do przyjmowania chorych na dyfteryt i szkarlatynę. Rozkład posiadają zupełnie jednakowy — Wprost wejścia korytarz, na lewo pokój kąpielowy, na prawo zaś pokój dla lekarzy do przebierania się i zdezynfekowania się i pokój gospodarski. W pawilonie dyfterytycznym, w pokoju dla lekarzy urządzone będzie podręczne laboratoryum. Wprost z korytarza wchodzi się do dużej sali o sześciu oknach na 8—12 łóżek, w dalszym ciągu wychodzimy na korytarz, z którego na prawo i na lewo wchodzi się do oddzielnych pokoików dla chorych, pokoju do bielizny, a wprost z korytarza do salki dla rekonwalescentów z trzech stron oświetlonej. W pawilonie dyfterytycznym jeden pokój ze ścianami cementowanemi przeznaczony jest na salę inhalacyjną i operacyjną, dla dzieci chorych na dyfteryt krtani (krup).

Terytoryum, na którem stoją pawilony infekcyjne, jest tak obszerne, że z czasem mogą być jeszcze dobudowane dwa lub trzy pawilony.

Oddalony, tuż przy bramie tylnego parkanu, stoi mały budyneczek, składający się z dwu sal—kaplicy przedpogrzebowej i sali sekcyjnej. Wyjście stamtąd wprost na ulicę Fabryczną.

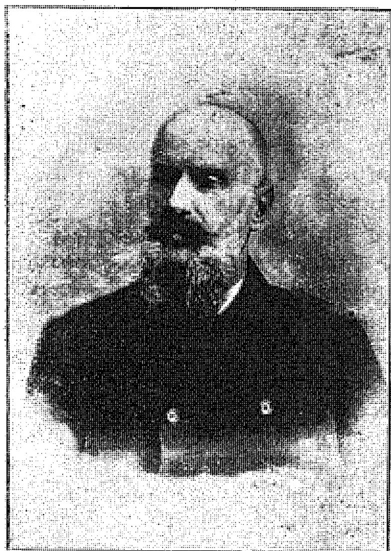
W całym szpitalu urządzono ogrzewanie centralne, wentylacyę podług najnowszych wymagań hygjeny, wodociągi miejscowe i kanalizacyą.

Podłogi w salach ogólnych i pawilonach infekcyjnych betonowo-cementowe, przykryte linoleum, w korytarzach z terazzo, w salach operacyjnych terrakotowe.

Wszystkie sale posiadają dużo światła, powietrza obliczono 40—50 m. sześc na jedno łóżko.

Szpital, przeznaczony na 120 łóżek, na razie uzyska urządzenie na 60 łóżek. Liczba łóżek w miarę zapotrzebowań będzie powiększona.

Komitet budowlany.



Dr. Karol Jonscher.



Paweł Riębensahm (budowniczy).



Dr. Adolf Tochterman.

Wizye Gwiazdkowe.



Wigilia...

Biuro zamknięto wcześniej, niż zwykle. Wszyscy gorączkowo gotowali się do świąt. Radość owładnęła ludźmi, jakby się spodziewali, że za godzin kilka ziemia zamieni się w raj, a oni, wolni od pracy, trudności i trosk, zażywać będą spokoju.

On tylko wrócił roztargniony. Usiadł do stołu, na którym leżał arkusz papieru z napisanym rano nagłówkiem artykułu: „Odrodzenie ludzkości". Chciał teraz napisać ten artykuł, ale nie mógł sobie przypomnieć ani jednego punktu z tego planu, który, idąc do biura, po drodze sobie ułożył. Myśl jego, jak w stepach koń dziki, harcowała wśród dziejów życia ludzkiego. To przebiegała przeszłość na całych lat tysiące, to znów zanurzała się w bezdenną przyszłość, jakby w niej chciała znaleźć bród, przez który ludzkość mogłaby przejść do tych krain szczęścia, o których marzyli najwięksi jej myśliciele. Naprózno usiłował pochwycić jakiś wątek myśli i przywiązać go do napisanego nagłówka artykułu. Zniecierpliwiony, odrzucił papier i zaczął przechadzać się po izdebce. Przechadzał się długo. Słońce zeszło. Zmrok coraz bardziej zalewał izdebkę, a on, znurzony nareszcie chodzeniem, stanął przy oknie.

Zaczął wpatrywać się w przestrzeń. Chmury, jak brudna płachta, pokrywały nieboskłon i wśród ich strzępów tylko można było widzieć kawałek nieba z błyszczącą gwiazdą. Ale te strzępy chmur z kawałkami nieba i gwiazdami przybierały w oczach jego najrozmaitsze postacie. To zdawało mu się, że widzi potwory o iskrzących oczach, to znów jakieś obrazy z błyszczącemi perłami. Obrazy znikły, a na niebie ukazał się chór aniołów, a dokoła rozlegała się pieśń „Gloria in excelsis Deo".

— Co to jest? — woła zdziwiony. — Więc Bogu chwała w niebie i ludziom pokój na ziemi?.. Więc będzie na ziemi pokój... Ach, pokój ludziom dobrej woli!.. A kto ich przekona i skłoni mieć dobrą wolę?...

Pieśń nie ustaje, a on zbliża się wśród ciemnej nocy nieznaną drogą ku jakiejś szopie, otoczonej obłokiem światła. Wchodzi. W szopie nikogo niema. W żłobku tylko na sianie leży nowonarodzone dzieciątko, ale z wyrazem twarzy tak poważnym, z tak malującą się na czole myślą, że zawahał się przybliżyć. Ale oto dzieciątko uśmiecha się do niego. Ośmielony tem, zapytuje:

— Więc, po co tu przyszłaś na ziemię, dziecino. U nas tu nędza. Tysiące ludzi od głodu umiera Wszyscy niedługo pomrzemy od głodu i chorób.

A dziecina odpowiada:

— Jam po to dziś przyszedł na ziemię, żeby was wszystkich szczęśliwymi uczynić.

— I ty twierdzisz, dziecino, że nauczysz ludzi być szczęśliwymi?

— Jam jest oczektwany Mesyasz i dam ludzkości takie prawo, że jeżeli zastosuje się do niego, zostanie szczęśliwą.

— I nie będą już wtenczas ludzie umierali z głodu na ulicach?

— Wszyscy będą syci

— I kalecy, i starcy nie będą na ulicach błagać o litość?

— Wszyscy będą mieli schronienie.

— Więc, Zbawco ludzkości, i kalek więcej już nie będziemy mieli?

— Moje prawo zniesie wszelkie przyczyny kalectwa i nędzy

Rozpromieniła mu się twarz na widok Tego, który przyszedł dać ludzkości wielkie prawo i wielką naukę. Skłonił się głęboko, ale oto dziecina zniknęła, zniknęła i szopa, a on, znalazł się wśród wzgórz, na drodze ku jakiemuś starożytnemu miastu. Wszystkiemi drogami ciągnęły tłumy ludzi i zbierały się ku świątyni. Spoglądał na nich ze wzgórza i widział ich tysiące zebranych. W t[em] powstał ryk tak straszliwy, jak głos trą[b] pod Jerycho, że aż wzgórze się zatrzę[sło]. A ten cały tłum, tysiącami głosów krz[y]czał:

— Chleba nam!.. Umieramy z głod[u]. Dwanaście razy z głodu padałem na u[li]cy!... Mnie żona z głodu umarła!...

I zaledwie troszeczkę przycichł t[en] krzyk, jak grzmot oddalony, gdy zn[ów] podniósł się płacz dzieci, jakby potęż[ny] świst, strasznym wichrem wywołany:

— Z głodu umieramy!... Trzy dni n[ic] nie jedliśmy!...

A za tym świstem znów jak stras[zne] wycie burzy, rozległ się płacz m[a]tek:

— Dziecko przy piersi mi z gło[du] umiera!... Chleba!.. Mleka!...

I te głosy, jak fala, pchana pęde[m] wiatru silnego, rozlewały się za mias[to] i wzgórza, daleko na świat cały.

Przerażony tą falą głosów, zaczął s[ię] zbliżać do nich, ale im więcej się zbliż[ał], tem więcej krzyk się podnosił.

— Na kogo wy tu czekacie, ludzie? — zapytał.

— Głodni jesteśmy, czekamy na Me[]syasza, który całą ludzkość ma nakar[]mić.. Dziś miał przyjść na ziemię.

— Mesyasz się narodził i obiecał wa[m] ogłosić swe prawa.

— Mesyaszu... przychodź z prawami! daj nam prawo być sytymi! — rozległ si[ę] tak potężny krzyk, że zdawało mu się, miasto w gruzy się obróci.

Ucichły krzyki, zniknęło miasto, strzę[]py szarej płachty pospadały z nieb[a]. Przedstawiło się ono w całej swej pięk[]ności, z mnóstwem srebrzystych gwiazd, z srebrzystym księżycem.

Wpatrywał się w te gwiazdy. Było ich tak dużo na niebie, że nie umiałby ich policzyć, a każda ta gwiazda to ma być odrębny świat, może również z żyjącemi istotami, jak na ziemi.

I widzi na niebie jakiś obrazek, taki sam, jak w wystawach sklepowych Ale ten obraz rośnie. Już stał się podobny do ogromnego ekranu, na który jakiś kinematograf rzuca obrazy wojny. Ale i ekran gdzieś niknie. Widzi tylko ziejące ogniem armaty, słyszy ich straszny huk, widzi idące do ataku pułki. Dokoła tysiące trupów, a wśród nich tysiące czołgających się rannych. I te ataki trwają coraz silniejsze, coraz zajadliwsze. Już i wojsko zniknęło, tylko dwa ogromne smoki o setkach tysięcy głów ludzkich trwają w strasznych zapasach, nad nimi unoszą się czarne upiory śmierci z kosą w ręku i tną głowy, jak żyto pod czas żniwa. Setki i tysiące głów już spadło, a owe smoki zdają się jeszcze nie czuć, jeszcze trwają w zapasach Wtem nagle powstaje szczęk padającej na ziemię broni, a z gardzieli obydwóch smoków rozlega się taki krzyk, że zdawało mu się, iż ziemia wyskoczy z orbity:

— Życia!... pokoju!... Mesyasza!..

Przybliżył się do nich, ale ryk smoków jeszcze więcej się potęgował I rzekł im:

— Nie krzyczcie, albowiem Mesyasz dziś się urodził i obiecał wam przepisać prawo pokoju

Upiory śmierci zniknęły, a obydwa smoki rzuciły się do uścisku z radości narodzenia Tego, który na ziemi pokój zaprowadzi.

I tak długo, długo przypatrywał się temu uściskowi, aż oto znów pokazało mu się niebo gwieździste z lekkiemi chmurkami. Niektóre gwiazdy przeszły już sobie na inną stronę nieba. Przypatruje się chmurkom. Wolniutko suną po niebie, a gwiazdy zdają się jakby z pod nich się wyślizgiwały. I te chmurki to wydłużają się, to przybierają rozmaite postacie. Wytworzył się z początku krzyż za nim znów miecz się pokazał, za mieczem trumna, a za trumną pułk czarnych aniołów, z których jeden trzymał sztandar z trupią głową.

On jest na wsi. Ludzie wylegają z domów i wszyscy biegną ku kapliczce Matki Boskiej za wsią On dąży za niemi. Ale oto całe tysiące ludzi klęczy na kolanach, a do nich zbierają się tłumy a z piersi wszystkich wyrywa się pieśń.

— Od powietrza, głodu, moru, ognia i wojny, zachowaj nas, Panie!

Skończyli pieśń i straszny płacz powstał między niemi.

— Pomrzemy! o Mesyaszu, przychodź nas ratować — wołali.

On zbliżył się do nich i rzekł:

— Nie płaczcie, albowiem dziś już Mesyasz się narodził. On was nauczy się kochać, będziecie umieli bronić się od śmierci.

A całe tłumy krzyknęły:

— Witaj, Mesyaszu! przychodź do nas z Twoją nauką, albowiem wszyscy chcemy żyć i wszyscy chcemy się kochać!

Jakiś posługacz wszechświata znowu zawiesił strzępiatą płachtę na nieboskłonie, ale świt dnia zaczął wypędzać mrok z kątów izdebki i miał wkrótce oświecić te tłumy, które wesoło i szczęśliwie miały obchodzić święta Bożego Narodzenia.

On położył się na łóżku, ale kinematograf jego myśli wystawiał coraz nowsze obrazy przed jego oczyma. A on długo je odpychał, chciał ich nie widzieć, zakrywał sobie oczy przed niemi, a one zniknąć nie chciały

Kiedy się przebudził i wszedł na ulicę, wszystko było po dawnemu. Sunęły tłumy, mknęły tramwaje, od czasu do czasu przeleciała dorożka. Znajomi żebracy po dawnemu stali bez czapek na ulicy, lub z wózków wyciągali ręce do przechodniów.

Wszystko było, jak zawsze

Władysław Komorowski.



W noc wigilijną.

Obrazek z życia.

W komórce pod schodami, zajmowanej przez stróża domu na jednej z najpryncypalniejszych ulic wielkiego miasta, niewesoło rozpoczął się dzień wigilijny.

Stróżka od kilku tygodni „dychała" w łóżku, nie mogąc podnieść się o własnych siłach, a dzieci dwoje, pozostawionych na opiece ojca, który pełnił w jednej osobie urzędy: policyanta, lokaja u gospodarza, administratora, rządcy i stróża domu, wyglądały bardzo nędznie. Niemyte, z włosami rozwiechrzonemi, nagie nawpół, drżały z zimna i głodu.

Stróż Paweł wpadł od czasu do czasu do nory swej, zajrzał, co się dzieje z żoną, podał jej to i owo, szturchnął starszego chłopaka i wybiegał znów do swych obowiązków ciężkich, wiedząc że za uchybienie mu grozi wyrzucenie z miejsca, a na samą myśl o tem włosy mu wstawały na głowie

I teraz właśnie wszedł do swego mieszkania, w którem pomimo godziny późnej panował mrok: małe okienko było całkowicie zamknięte.

Chora odwróciła głowę w stronę męża i przemówiła:

— Ojciec, a jak to będzie z dzisiejszą wigilią?

Za całą odpowiedź posłyszała ciche westchnienie męża.

— Bo,—ciągnęła dalej chora—przecie tak przez niczegój nie można. Potrzebaby kupić choć śledzi kilka i ugotować choćby kapusty, abo co. Jużeśmy „warzonego" siła czasu nie jedli.. Oj, Boże, Boże ulituj się nademną. Że-

by abo na tę stronę, abo na tę, bo już wytrzymać nijak nie mogę. O Matko Najświętsza!...

— Kupić, to kupić, ale kiej? Gospodarz mię wysyła po choinkę, a jeszcze kazał mi dziś znowu zmyć i schody frontowe, bo pies mu się w nocy rozchorował, no i wele domu trza jeszcze i to i owo... Kiedy ja to wszystko zrobię? Charuję, jak ten pies, i odrobić się nie sposób... A tu jeszcze skargi ze wszystkich stron. Wczoraj zabrakło mi nafty, na tylnych schodach o 10-ej zgasło, dziś już byli na skargę... Z tych 6 rubli miesięcznie ani sposób przecie wystarczyć na światło. A tu jeszcze u gospodarza raz wraz goście, to mi każe palić lampy, dokąd nie wyjdą.

— Wiadoma rzecz,—jęknęła Pawłowa— ale musisz co zaradzić na dzisiejszą wigilią... Może to już ostatnia..

— Ano zobaczę. Teraz polecę po choinkę duchem...

Wypadł z izby i pomknął w kierunku przedmieścia, aby tam kupić taniej chojenkę.

Zaledwie zamknęły się drzwi komórki, dwoje dzieci, 6-cioletni Janek i 4-letnia Helenka rzuciły się do matki i zaczęły mówić jedno za drugiem:

— Mamusiu, a my będziemy mieli choinkę? pyta Janek.

— Toinkę—powtarza Helenka.

— Niech nam mamusia kupi..

— Mamusia tupi toinkę

— Tak żeby było, jak w zeszłym roku.

— Loku ześlim—powiada dziewczynka,

— I świeczki, żeby mamusiu były i takie jabłka złote i orzechy.

— Sieczki, mamusi.

— Łzy zawisły przy oczach bezsilnej kobiety; przyciągnęła obie dzieciny do siebie i rzekła:

—Miałybyście, miałybyście wszystko, żebym była zdrowa, ale widzicie...

Tu kaszel gwałtowny przerwał mowę Pawłowej.

Dzieci patrzyły z przerażeniem na matkę, jak ta męczyła się, aby uchwycić trochę powietrza..

✳

— Wiesz, matka, co? Kupiłem tu trochę wódki, śledzi, kapusta jest, grzyby... Ale warzyć teraz niemam kiej,—rzekł Paweł, wchodząc o mieszkania swego wieczorem.

— Jużem się obrądził, ino do bramy trza iść. Wpadnę tu później i napalę ogień. Zjemy sobie po zamknięciu bramy, a teraz napijemy się wódki, bo mróz siarcisty...

Tu odkorkował Paweł butelkę, zdjął z nad komina kieliszek i wychylił do dna.

Następnie nalał żonie, a gdy ta wypiła, zawołał dzieci i im też dał po trosze

— Niech ta napiją się po krzynie, przecież im nie zaszkodzi.

Oj Boże, Boże, —jął narzekać, gdy już drugi i trzeci kieliszek wychylił,—jeden ma tyle, a my? Ot, u gospodarza i choinka, że aż łuna bije, tyle tam złota i wszystkiego.

— Tatusiu, ja chcę choinkę...

— Jak popóźniej zapalą świeczki, to z balkonu tego ze schodów tylnich widać jak na dłoni,.. Możecie iść se popatrzeć... No matka, jeszcze jeden i trza iść do bramy! dodał zwracając się do chorej.

— Nie mogę już, nie mogę.

— Ale wypij, wypij... No i ty, Janku, masz napij się i ty, Helenko...

Poczem, obdzieliwszy wszystkich, ruszył do bramy, aby odsiedzieć godziny swoje...

✡

— Mamusiu, my pójdziemy choinkę u gospodarza zobaczyć, — rzecze Janek, natychmiast po wyjściu ojca.

— Toinkę..

Ale matka nie słyszała, atak kaszlu się zaczął...

Dzieci podążyły na balkon; w pośpiechu drzwid mieszkania zostawiły otwarte...

* *

Mróz dochodził do 15 stopni. Na ciemnem tle nieba jarzyły się gwiazd miliony. W domu i na ulicach cisza.

Na balkonie drewnianym stało dwoje dzieci wpatrzonych w choinkę gospodarza, na której zapalono światła.

— Dziz anioł! — rzecze półgłosem Janek.

— Janioł! — powtarza Helenka

— Oo, koniki, koniki.

— Toniki.

— Oo, oo..

— Oo, oo..

Z główkami wychylonemi i z rączyni wyciągniętemi w stronę okna stały dzieci.

Mróz potężniał. Od czasu do czasu rozległ się trzask pękającej deski parkanu. A dzieci nie widziały, ani słyszały, ani nie czuły nic. Z oczyma utkwionemi w jarzącą się od mnóstwa świec choinką stały. Powoli zaczęła je ogarniać dziwna błogość. Zdawało się, że są w pokoju przy choince, zrywają jabłka, gruszki, jedzą, bawią się, Janek dał konika, Helenka lalkę. Bawią się wesoło, jedzą jabłka złociste, a koło nich matuś uśmiechnięta uwija się raźno, głaszcze je i pieści, przemawiając słodko:

— Bawcie się, bawcie, dzieciny wy moje.

— Matuś — szepnął Janek.

— Jat loku zesligo.. dodała Helenka.

* * *

W komórce pod schodami jasno. Okno zamarznięte gore tysiącem blasków Na stole ustawiono krucyfiks, a przy nim płonie gromnica. Na stołkach tuż przy łożu Pawłowej leży dwoje dzieci zmarzniętych..

Gdzieś w dali dzwony biją, radość świata ścieszczą.

A z pierwszego piętra dochodzą echa wesołej głośnej i śmiechu dzieci. Słychać pieśń:

„Wesoły nam dzień dziś nastał!“

Wiktor Monsiorski.



„Zwyrodnienie ludzkości“.

Doktór Kurz, znakomity uczony z Heidelbergu, napisał dziesięciotomowe dzieło: „O zwyrodnieniu ludzkości“.

Doktór Lang z Berlina, opierając się na pracach doktora Kurza, napisał popularną broszurkę o zwyrodnieniu ludzkości. W nagrodę za tak cenną pracę otrzymał katedrę uniwersytecką i został członkiem honorowym rodzinnego miasta Maulgau

Doktór Storch z Hall opierając się na popularnej broszurce doktora Langa napisał dwutomowe, wyczerpujące dzieło o zwyrodnieniu ludzkości Hall wystawił mu niezawodnie pomnik.

Doktór Frosch, decent prywatny i habilitowany, napisał na podstawie wyczerpującego dzieła doktora Storcha popularną broszurę pod tytułem „Zwyrodnienie ludzkości“. Za tę cenną pracę został mianowany członkiem akademii umiejętności w Berlinie i otrzymał order „Krzykliwej sroki“ siódmej klasy. Człowiek ten byłby o wiele wyższych dostąpił zaszczytów, gdyby nie musiał być odesłany do domu obłąkanych, gdzie swe prebendy odbywa w dalszym ciągu bezpłatnie.

Doktór Klein, pisząc wyczerpujące dzieło o pracy doktora Froscha, rozwinął teorye swych poprzedników: Storcha, Kurza i Langa i dodał od siebie wspaniały rozdział „O zwyrodnieniu ludzkości“. Dzięki temu komentarzowi jasna błyskawica przedarła ciemne chmury zawisające nad plemieniem Kaina, a w nagrodę onej przysługi, wyświadczonej ludzkości, otrzymał świadectwo bojaźni Bożej, został tajnym radcą i uwolnieniem od taksy.

Kiedy się o tem dowiedział doktór Kurz, przerobił i skrócił swe dziesięciotomowe dzieło i uszczęśliwił świat krótką broszurą o zwyrodnieniu ludzkości, powołując się w niej na wywody doktorów: Langa, Storcha, Froscha i Kleina, przez co praca jego zyskała na powadze i głębokości.

Doktór Schpass przeczytawszy trzydzieści tomów „O zwyrodnieniu ludzkości“ napisał jeden rozdział z biblii, który się zaczyna od słów: Abraham zrodził Izaaka, Izaak zrodził Jakóba, Jakób Ezawa i td. udowodnił ostatecznie, że nowoczesny Abraham niemiecki jest dr. Kurz, z tego zrodziło się tylu wielkich synów Germanii, przyszedł sam na świat w zagadkowy sposób, a mianowicie: wyłonił się z głowy francuskich i angielskich myślicieli.

Co za szczęśliwy praojciec tylu wielkich synów, którzy tak doskonale na wązko i na szeroko pojęli w czem tkwi zwyrodnienie ludzkości!

M. R Boruta.



Tramwaj I-ej klasy.

—(:)—

Punktem do rozwodu małżeńskiego czasami bywa zdrada, czasami rozbicie butelką głowy jednej ze stron, a czasami—tramwaj.

Przytoczę jeszcze jeden powód wprawdzie niezbyt pospolity, zato niezmiernie ciekawy, który zniewolił jednego z moich znajomych (dla ścisłości dodam, że należy do rzędu lepszych... graczy karambolowych) porzucić rodowitą małżonkę na bruku, li tylko dla tego, że miała brodawkę w miejscu, którego nie mógł niestety sprawdzić naocznie przed zawarciem związku małżeńskiego, dowiedziałem się jednak z prywatnego źródła, że teść chce mu wyperswadować za pomocą dodatkowych 10,000 rubli, aby nie zważał na tę „drobnostkę“ i pertraktacye są w pełnym biegu.

Ale rozwód, który o mało co nie nastąpił w małżeństwie państwa Nisenknak, zamieszkałem w małem mieście, miał zgoła inną genezę.

Gdy pewnego razu, Nisenknak, spiesząc się do swej fabryki, szedł szybkim krokiem ulicą Piotrkowską, zoczył tramwaj elektryczny, do którego był przyczepiony wagon z przedziałem 1-ej klasy.

Wiadoma rzecz, że kursujący wagon I klasy świeci zawsze pustkami, gdyż w mniemaniu łodzian jest to zbytek, na który pozwolić sobie może jedynie inkasent dogodnej firmy w przededniu ucieczki do Ameryki, lub też wybitna gwiazda półświatka.

Więc pan Nisenknak, nawiasem mówiąc, do szpiku kości zatwardziały materyalista, rzucił niechętnem okiem w stronę przedziału I-ej klasy i w tej chwili z niemożliwem do opisania przerażeniem spostrzegł siedzącą w nim swoją własną rodowitą żonę. Skandal był podwójny, przedewszystkiem powinna była przy obecnym zastoju handlowym chodzić piechotą, bo od tego przecież Bóg dał kobiecie całe i zdrowe nogi a następnie, skoro już jest rozrzutną w najwyższym stopniu, to mogła zająć miejsce w wagonie 2-ej klasy, co stanowi niesłychaną różnicę w cenie, bo 3 kop. na bilecie.

Gniew, wstyd i oburzenie ogarnęło naraz Nisenknaka do tego stopnia, że o mało co nie zachwiał się ze zgrozy. Zachowął jednak jeszcze tyle sił, że gestykulacyą rąk i krzykiem zwrócił żonie uwagę na tę nienotowaną jeszcze w kronikach naszego grodu niewłaściwość, aby tak lekkomyślnie roztrwaniać 3 kopiejki. Lecz elektryczność zrobiła swoje, tramwaj pomknął z szybkością strzały dalej, a krzyk męża nie był dla pani Nisenknak nawet niedosłyszalnym szeptem.. Natomast wstrząśnienie jakiego doznał pan Nisenknak nie pozostało bez skutku. Ten gorący wielbiciel kultu Mamona pod wrażeniem rozrzutności swojej małżonki uczuł cały słój lodu w piersiach; nie mogąc znieść tego ciężaru padł na ulicy zemdlony, a kiedy nawinął się lekarz, który pragnął okazać mu swą pomoc doraźną, pan Nisenknak, zebrawszy resztki sił zawołał głosem człowieka umierającego,

— Ja pana nie wołałem! Niech tu przyjedzie Pogotowie ratunkowe, bo to mnie o sto procent taniej kosztować będzie. I ostatecznie Pogotowie ratunkowe odwiozło naszego czcigodnego Nisenknaka do jego mieszkania, gdzie domownicy otoczyli chorego najczulszą opieką.

A kiedy chory, walcząc po bohatersku ze śmiercią, znalazł krótką chwilę ulgi fizycznej i moralnej, kiwnął palcem na swoją, która też zaraz stanęła u łoża jego.

— Natko! powiedz mi całą nagą prawdę! wyszeptał małżonek nieszczęsny głosem zdławionym.

— O cóż chodzi?—zapytała.

— Tu nie o to chodzi, co chodzi, tylko o to, co jedzie!—zawołał z pianą na ustach pan Nisenknak, którego stan zdradzał zarazem ostatnie momenty agonii.

— Więc mów„ aniołku!—błagała żona—bo nic a nic nie rozumiem!

— To ty jechałaś dziś tramwajem przez Piotrkowską ulicę.. a nie mogłaś to iść na piechotę!

— Nie mogłam!

— A dla czego nie mogłaś!!!

— Bo dostałam kłucie w boku! Co miałam robić? Wsiadłam do tramwaju. to przecież taniej wypada, aniżeli lekarstwo z apteki.

— Dlaczego ty pozwalasz sobie na takie zbytki na ulicy?! Nie możesz mieć kłucie w boku w domu?!

— No, trudno., mój najdroższy, stało się

— A teraz powiedz mi, dla czego ty usiadłaś w przedziale najdroższym, gdzie cena biletu jest tak niezmiernie wygórowaną?!

— Bo w drugiej klasie wszystkie miejsca były tak zajęte jak na przedstawieniach z udziałem Kamińskiego lub Siemaszkowej, chciałam wprawdzie jednej przekupce ze Starego Miasta siąść na kolanach ale ona zaczęła w nieparlamentarny sposób hałasować dopiero konduktor wskazał mi jedyne wyjście z sytuacyi, to jest wejście do 1-ej klasy.

— A ja się jednak z tobą za taką rozrzutność rozwiodę zaraz jutro.

Pani Nisenknak pobladła śmiertelnie, usłyszawszy te słowa.

Lecz panu Nisenknakowi nie danem było dotrzymać przyrzeczenia.

Zaledwie wyrzekł ostatni wyraz, przeniósł się do lepszego sprawiedliwszego świata..

Pani Nisenknak miała zostać rozwódką a jest—wdową.

Niechaj humoreska niniejsza będzie dla niej drobną pociechą w tem wielkiem niepojętem nieszczęściu, jakie ją spotkało, z winy jedynego na całej sieci linii tramwajowej przedziału 1-ej klasy

Karol Rubinsztejn.

HJALMAR SOEDERBERG:

SŁOTA.

—:—

Otóż i znowu mokra zima i dni ciemne i słońce z twarzą zaszytą gdzieś. w najbardziej posępny zakątek świata, tak, aby nikt nie zajrzał przypadkiem, jak się posunęło w ostatnich czasach, zbladło i znędzniało.

Zanim jednak wicher dąć pocznie przez szpary okien, nim słota długotrwała puści się strugami wzdłuż rynien, a tam na dole, w ulicy, mokre jakieś psisko trząść się zacznie, wyjąc pod bramą, nim pierwszy zimowy ogień wypali się na kaflowym naszym kominku, opowiedzieć wam chcę bajkę: o słocie.

Posłuchajcie tylko.

„Źli ludziska tak ostatnimi czasy dogryźli Panu Bogu, że za karę postanowił uczynić ich jeszcze gorszymi.

Najchętniej, byłby ich wytracił nowym potopem, niestety jednak, ongi, w chwili jakiegoś wielkiego rozczulenia obiecał Noemu, że nigdy już tego więcej nie zrobi.

— Słuchajno, — rzekł tedy Stwórca do dyabła—święty nie jesteś, to fakt, ale miewasz dobre pomysły, i można się z tobą czasem dogadać Ludzie są hołota i ani im się śni poprawić. Nawet moja cierpliwość—bezgraniczna, jak wiadomo—już się skończyła i postanowiłem sobie, że za karę staną się jeszcze gorsi. Myślę bowiem, że wtedy zajedzą się już do reszty i będzie spokój. Sądzę również, że nasze sprawy zazwyczaj, o niebo całe oddalone od siebie, mogą przedstawiać przy tej okazyi pewien wspólny interes. I cóż ty na to?

— Panie,—ozwał się szatan — mądrość twoja równa się twojej dobroci. Wedle wykazów statystycznych największa liczba zbrodni spełnianych przypada właśnie w porze dni ponurych, kiedy niebo brudne, a ziemia w mgłach pogrążona i słońce...

Wszechmogący długo się biedził nad treścią słów Kusego

— Zrozumiałem cię—wyrzekł w końcu. —Rada twoja jest dobra i posłucham jej. Masz duże zdolności, mój drogi, mógłbyś jednak cokolwiek lepszy użytek z nich zrić.

— Odtąd tedy nastanie słota bezustna —mówił do siebie Stwórca.—Nigdy już nie podniosą się ciężkie obłoki, ani słońce kdy znowu zabłyśnie.. Posępną i ponurą stanie się ziemia aż do dni ostatnich.

I stało się.

Parasolnicy i fabrykanci kaloszy owali się zrazu wielce, ale uśmiech zastygł niebawem na ustach. Ludzie nie zrozumieli wprost błogiego wpływu pogody, póki ała, piękna i słoneczna!

Melancholikom mieszało się w mózgu i wieszali się po drzewach szeregami, albo kładali Związki lub Stowarzyszenia, im obrad, co zresztą na jedno wychodzi... Zechano niebawem wszelkiej pracy i straszna nędza nastała. Liczba zbrodni wzrosła osłupiająco wysokiej cyfry, więzieniom groziło przepełnienie, a w domach waryatów wreszcie zabrakło miejsca jedynie już tylko dla innych. Cyfra żywotności zmalała, a mieszkania jęły świecić pustkami.

Za zbrodnię samobójstwa, nałożono karę śmierci, nie pomagało jednak nic.

Ludzkości rozśpiewanej i rozmarzonej o tylu wiosnach, przeżytych przez tyle pięknych lat, groziła teraz zagładą jesień wieczna...

Dzień za dniem niósł za sobą rozpętanie większe i ruinę.

Pola leżały odłogiem, miasta rozłożyły się w gruzy. Na rynkach pustych grasowały się sfory psów wyjących przeraźliwie, cho, zaułkami, skradał się stary, kulawy, kiś człeczyna, z worem wielkim na zgiętych plecach i zbierał weń zmarniałe dusze łachmany.

Co wieczora wracał z pełnym ładunkiem do domu.

Wreszcie, jednego wieczora — nie wrócił..

Poszedł natomiast, do furty niebieskiej, prosto przed tron Przedwiecznego. Tam stanął i schylił się, mówiąc:

— Panie, postarzałeś się widać ostatnimi czasy, posunęliśmy się fatalnie oba i go to, tak nam oto nudno straszliwie... Ge, złą była rada, którą ci dałem. Te dusze bowiem, które mnie zajmują specyalnie których mam słabość odwieczną, tymczasem dom potrzeba choć odrobiny słońca su do czasu... Inaczej nie wiodą się.. yj jeno, łachmaniarzaś zrobił ze mnie i

I mówiąc to, cisnął z taką siłą swój wór o kamiennej stopnie tronu że licha tkanina pękła i dusze nędznikóe ciały się kłębem naokół. Nawet całkiem nie były, jeno szare.

— Oto niedobitki dusz ludzkich nich na ziemi.. Weźże je sobie Pan własność... Strzeż się jednak zrobić kolwiek użytek jaki z tego plugastwa zwłaszcza, gdyby ci przyszła ochota czyścić ludźmi nową jaką kulę ziem



Przez szczeliny okienic gwiżdże, deszcz gra wytrwale w blaszanych rynien i na tem koniec bajce A ej nie zrozumiał, niech się pocieszy sną pogodą jutrzejszą...

Przekład M



Niezawodna recepta na złowienie męża.

Weź gałązkę paproci,
Jedno małe jabłuszko,
Lubystyku trzy funty
I gołębie serduszko.
I to wszystko przy sobie
Noś i w zimie i w lecie,
I powtarzaj wciąż w myśli:
„Musisz kochać facecie".
A pamiętaj prócz tego,
Codzień zjadać trzy figi.
Uśmiechać się do chłopców,
A rozmawiać na migi.
I corano, o zorzy,
Wychodź na brzeg strumyka
I wyglądaj wśród fali
Wyśnionego chłopczyka.
A gdyby w rok recepta
Pozostała bez skutku,
Jeszcze luba dzieweczko,
Nie pogrążaj się w smutku.
Bo i w tenczas jest rada
By się zjawił kochany,
Ale musi trzos papy
Być rublami wypchany.
Wtedy chłopcy, gdy zwęszą,
Że masz flotę w kieszeni,
To którego nie zechcesz,
Wnet się z tobą ożeni.
I ubóstwiać cię będzie
Jak przystało na męża —
Bo gdzie zioła nie mogą,
Tam fortuna zwycięża.

przep. *Mich Jak.*

Dokładne zapiski.

Ten pedant Eustachy, świeć Panie nad jego głową (bo jeszcze żyje), ma u siebie w domu na biurku grubą notatkę oprawną w saflan i w tej notatce zapisuje codziennie wieczorem, z dokładnością godną podziwu ważniejsze swoje spostrzeżenia.

Ale że ma pamięć nie lepszą od sędziwej kury, więc wciąga do „księgi wrażeń" tę samą rzecz po dziesięć razy, będąc zawsze przeświadczonym, że edkrywa Amerykę po raz pierwszy.

Pewnego dnia udało mi się „zapuścić żórawia" w tę notatkę i wyczytałem tam między innemi;

Rok 1884.

„Dziś, pierwszy raz w życiu zapłaciłem obcy weksel. Poczciwy Kostuś zapomniał jak zwykle. Lubo dziwię się krótkiej jego pamięci, przecież wyznać muszę, że płacąc za niego spełniłem dobry uczynek i czuję z tego powodu szczerą rozkosz w sercu. Nie powiem mu nic, niechaj się sam domyśli. Zaznaczyć przytem muszę, że wzbogaciłem mój umysł kilku nowemi pojęciami; naprzykład: wiem już co to „protest".

Rok 1887.

„Dziś po raz pierwszy w życiu zapłaciłem obcy weksel. Poczciwy Franio widocznie zapomniał, ale nie dziwię mu się, bo ja sam niekiedy zapominam, Nauczyłem się przecież czegoś nowego, wiem mianowicie co to jest „protest".

Rok 1894.

„Dziś po raz pierwszy w życiu zapłaciłem weksel za Kostusia. Widocznie zapomniał. Gdyby nie to, że nie miałem pieniędzy pod ręką i musiałem dwa dni uganiać po bankach, byłbym doznał szczerej rozkoszy w sercu. Niestety, tyle miałem zmartwienia, że uczucie rozkoszy tym razem nie dopisało. Ostatecznie jednak odniosłem pewną korzyść, wiem, bowiem co to protest, pozew i skarga sądowa".

Rok 1904

„Dziś po raz drugi w życiu zapłaciłem obcy weksel. Kostuś i Franio zaciągnęli dług na spółkę, a ja im żyrowałem...

...Że też nikt na tych rzezimieszków nie ukręcił dotąd sznura."

R. M. B.

Daj mi rękę...

Daj mi rękę, dziewczę, daj!
Ja przez życie cię powiodę,
Przejdziem razem świata skraj,
Daj mi rękę, dziewczę młode!

Na źrenicy choć się łza
Smutku nieraz zakrystali,
Ja wypiję ją do dna,
I pójdziemy razem dalej.

A gdy przyjdzie życia kres,
To w uścisku pożegnania,
Wtedy będzie dosyć łez,
Wtedy dosyć będzie łkania.

Daj mi rękę, dziewczę, daj!
Ja przez życie cię powiodę,
Przejdziem razem świata skraj,
Daj mi rękę, dziewczę młode!

Józef Glikson.

O królewnie i malarzu.

Humoreska.

—o—

Smok zdechł.

Zdechł poprostu z nudów. Sto lat blizko, odprawował wierną wartę przed zamkiem, wytrzeszczał w las ślepie, bacząc czy kogo licho nie niesie, czuwał i nadsłuchiwał, ale sto lat mijało i nie pokazał się nikt.

Żaden najmarniejszy błędny rycerz w obdartej opończy, żaden junak królewicz, na wieszczym siwku złotogrzywku, nawet głupiego Maciusia nie zaniosło nigdy w te strony.

Na zamku, bez pamięci, spała zaklęta królewna, smok zaś leżał przed bramą—i tak było blizko od wieka. W tych warunkach nikomu wesoło być nie może...

W lecie bywało jeszcze jako tako. Ciepłą nocą miesięczną schodziła się czasem ta hołota leśna, lekkomyślne, niesamowite licho, cały ten naród z pod ciemnej gwiazdy, młody, ucieszony, hałaśliwy..

Czasem, coprawda, trudno było wytrzymać... Zwłaszcza te dziewczęta! Patrzeć niema na co, bo to blade; chude, w smaku nieszczególne, a krzykliwe... Ale w każdym razie rozrywka.

Zdarzyło się jednak, że któraś z dziewcząt, rozbawiona i śmiejąca, podeszła raz ku niemu za blizko i dmuchnęła mu w nos z nienacka.

To był tylko głupi żart, ale smoka porwała pasya i zjadł ją.

Odtąd majdan przed zamkiem opustoszał zupełnie.

Nudno było, że się choć w ogon gryzł...

Przyszła jesień. Na głogach i jarzębinach zapłonęły korale czerwone, trawa pożółkła, a w lesie pośród świerków i jodeł czarnych, stanęły buki, jak zapalone pochodnie ogniste. Zima przybyła wcześnie i wszystko zapadło w śnieg wysoki.

Smok zwinął się w kłębek w swojej jamie pod wjazdową bramą, mrucząc z bezdenną apatyą:

— Niech to wszyscy dyabli...

I gdyby w takiej chwili sam Królewicz Niezginek, na którego smok od dawna zęby sobie ostrzył, otrąbił swe przybycie przed zamkiem, ani jedna łuska nie drgnęłaby na smoczym grzbiecie, żaden by się pazur nie skrzywił.. Przynajmniej tak mu się zdawało. To naturalnie było tylko takie gadanie, ale nie zjawiał się nikt.

— Przecież żywe panny czekają nieraz na męża do śmierci, a cóż dopiero śpiące od stu lat na zabój! Może ona tam już dobrze zastygła od dawna?! Wściec się można...

A tymczasem znowu zrobiła się wiosna. Na stoku góry zamkowej kwitły tarniny, powietrze jęło pachnąć, wróciły jaskółki i rozpoczęły naprawę gniazd.

Smok widział to jednak tyle razy, że mu aż obrzydło.

— Niech to połamie, do choroby ciężkiej,.. zaklął z głębi ogona, i zawinąwszy się ciasno, legł w jamie swej bez ruchu.

— He-ef! westchnął jeszcze raz i wyzionął parę ostatnią.

Pierwszy smok, który zginął naturalną śmiercią. Zdechł poprostu z nudów.

Wówczas to, minęło właśnie sto lat czasu i królewna zbudziła się.

Przez okna bez szyb, świeciło ranne, wiosenne słońce, słychać było świergot i fruwanie jaskółek, na tarasie kwitła czeremcha, a zdrowy, świeży zapach, rozchodził się po wysokiej komnacie.

— Pachnie... pomyślała królewna i poszła, trąc oczy, ku oknu.

Wszystko jej się wydało cudowne i radosne, zapomniała bowiem doszczętnie, że była kiedyś córką królewską. Że po śmierci jej matki królowej, król wziął żonę drugą i, że ją potem wróżka-macocha uśpiła czarem na zamku. Wiecznie te same a wstrętne stosunki familijne.

Dobrze jeszcze, jeżeli się je przespać może, jak ta oto, ockniona po stu latach królewna.

O smoku, co strzegł jej tak długo, nie wiedziała wcale, był to bowiem tajny zausznik macochy-królowej, do którego otwarcia nie przyznawała się nigdy, pomimo dalekiego wprawdzie, ale istotnego z nim pokrewieństwa. Ot, jak zwykle ubodzy krewni magnatów...

Szerokiemi schodami tarasu zeszła królewna w ogród.

Zdziczały był i zachwaszczony zupełnie, ale, że to na wiosnę wszędzie pięknie, więc i w zaroślach, okalających napół rozwalony zamek, pełno było zapachu, świergotu ptaków, kwiatów wczesnych i świeżej cudownej zieleni,

Suknia królewnej różowa, srebrem tkana, wlokła się za nią z głośnym chrzęstem brokatu, a róże polne chwytały kolcami srebrne koronki obszycia, jak wieśniaczki, ciekawe błyskotek nieznanych...

W źródle przejrzystem umyła twarz i rączki, strzepała siwe pajęczyny.

I królewna śliczna była i rada, jak dziecko. gdy się dobrze wyśpi.

A zdarzyło się właśnie, że po stu latach, pierwsza dusza żywa dążyła w leśną samotnię.. Oto jakiś wędrowiec wstępował raźno pod górę zamkową.

Królewna spostrzegła go z daleka i zaciekawiona, patrzyła nań z za baszty strażnicej.

Był młody i wysmukły, na głowie miał płaską czapkę, pod szyją krawat błękitny i drewniane pudełko pod pachą. Szeroka czarna peleryna zwisała mu z ramion.

— Paź, nie paź?.. — pomyślała królewna.

Ale to nie był paź.

Tymczasem przybysz dotarł do zwalisk zamku i rzucił się jak długi na murawę. Zdjął czapkę, przyczem włosy ciemne rozsypały mu się po czole, zrzucił pelerynę, a pudełko położył obok siebie na trawie.

Zupełnie ładny chłopiec.

Królewna schowana za basztę, przyglądała mu się ukradkiem i bezwiednie poprawiać jęła pudrowane swoje włosy, z których już w znacznej części ów pył biały się osypał.

Wędrowiec zaś, pogwizdując jak wesoły kos, dobył z kieszeni bułkę i począł ją gryźć białymi zębami, ani śniąc, że opodal, o parę kroków za nim, czai się zaklęta królewna, zapatrzona łakomie w jego ubogi posiłek. Biedactwo uczuło głód szalony i na widok drugiej bułki dobytej właśnie z kieszeni wraz z ładnym kawałkiem świeżego sera, królewna, nagłą odwagą zdjęta, wyszła z ukrycia.

Na chrzęst jej sukni, obejrzał się i okrągłemi oczyma wpatrzył się w nią osłupiały.

— A to co takiego! — wykrzyknął, zrywając się z ziemi na równe nogi.

— Chciałam cię prosić, żebyś mi dał co zjeść, bom strasznie głodna!—odparła z prostotą królewna.

On jednak, jak nieprzytomny stał przed nią—i milczał.

— A któżeś ty jest, do licha?—zawołał wreszcie.

— Ja?—i królewna z wielkiem zakłopotaniem podniosła wzrok.

— Jestem dziewczyną...

— Piękny zawód... Ale do biedy. Jak ty wyglądasz, istoto żeńska!?

I patrzył na jej pudrowaną fryzurę, na czarne muszki koło ust, suknię srebrem dzianą, haftowane trzewiki i dziwował się.

Któżby się zresztą nie dziwił?..

Dla Boga, coś ty za jedna? Gadaj!

— Ja? Nie wiem, nie pamiętam, daj mi tylko jeść, bo mówię ci, żem głodna...

— Ależ proszę, proszę, i owszem.. Chodź no tylko bliżej.. — i ochłonąwszy już nieco z pierwszego wrażenia, rozścielał na murawie swoją pelerynę.

— Siadaj-że tu proszę.. i jedz... Ty jesteś pewnie aktorka, albo waryatka... Mniejsza o to. Masz bułkę! Więc nie powiesz mi kto jesteś?

Królewna ruszyła tylko ramionami i gryząc bułkę przypatrywała się chłopcu.

— A ty kto jesteś?—zapytała nagle, poruszając z trudnością ustami pełnemi bułki.

— Dziś ją! jaka ciekawa! Ja jestem malarz. Wisz, taki wesoły facet, co to robi obrazy, niema pieniędzy a żyje... I to jest właśnie Sztuka.. Pewnoś słyszała o Sztuce? Wspaniałe życie! Zwłaszcza na wiosnę i przez lato. I czem ja jeszcze będę! Będę sławny, bogacz, kupię sobie czarne aksamitne ubranie, zapuszczę wąsy i dam ci odrazu dwadzieścia bułek! Ot, co jest! Słyszysz ty, coś zapomniała czem jesteś!... Ja piszę także wiersze i umiem gwizdać... A ty co umiesz?

Królewna z godnością ruszyła ramionami.

— Nic nie umiem. Na co?

— Słuszna uwaga! Ale swoją drogą nie zawracaj gitary, tylko mów raz coś za jedna! Najprawdopodobniej uciekłaś z teatru i to wprost z przedstawienia...

— Z nikąd nie uciekłam... Czy możesz mi dać jeszcze to białe?

— Dobra sobie! A ja co? Szyszki i bukwę mi zostawisz! Ale zresztą, co tam! Kawałek mogę ci jeszcze dać, tylko zacznij nareszcie gadać po ludzku.

Królewna wzięła ser i z upodobaniem spojrzała na malarza.

— Jak ty ładnie mówisz!

Malarz uśmiechnął się. To jest jednak jakieś strasznie miłe stworzenie—pomyślał.

— A co jest w tem? „zagadnęła królewna dotykając noskiem trzewiczka skrzynki z farbami

— Farby! Różne śliczne kolory pokażę ci!“

— Czy to do jedzenia?—zapytała skwapliwie królewna.

— Co do biedy z tem jedzeniem! Wszystkoby jadła!—zaśmiał się—Nie, farby nie są jadalne, tem się maluje... Rozumiesz?

Potrząsnęła głową przecząco.

— Zaraz ci pokażę—i otworzył pudełko, w którem szeregami leżały farby w tubusach, mieniła się paleta z pendzlami, obok zaś widniał mały blejtram z czystem, naciągniętem płótnem.

Królewna ciekawie patrzyła na nieznane sob e przybory.

— Wiesz co? Zrobię twój portret, niby tak, szkicnę tylko... A czy potrafisz cicho usiedzieć?—zagadnął nagle.

— Sprobuję... A ty czy potrafisz namalować?—spytała otwarcie królewna.

— Czy potrafię! Patrzcie no! Siadaj no, tam, na tym kamieniu i nie ruszaj się... zaraz cię ułożę.

Królewna usiadła posłusznie.

— Nie tak, poczekaj...

I sam zaczął rękoma nakierowywać jej głowę.

— Jakie on ma ładne oczy!—pomyślała królewna, kręcąc umyślnie szyją, żeby je mieć dłużej przed sobą.

— Siedź-że raz spokojnie!—wołał malarz niby to niecierpliwie, sprawdzając jednak równocześnie, że to przecie śliczna rzecz, takie złote pudrowane włosy...

Królewna była blondynką.

— Bo to widzisz, moja kochana—prawił malując—to się teraz robi inaczej. Teraz, żeby tylko wyczuć charakter, chlasnąć parę plam i rąbnąć wyraz... Te mamuty ślęczały

dawniej nad linią; może Głupstwo linia! Ty myślisz, że będziesz podobna? Śmiej się z tego! Co komu za sto lat będzie zależało na podobieństwie? Wyraz, uważasz mnie, wyraz grunt! I to, co robię, to będzie jedynie wyraz, twój wyraz... żaden portret. Parę soczystych kleksów... parę takich, wiesz, raalnych plam, żeby dobyć bryłę, a potem wpakować w to duszę!...

— Duszę...—zastanowiła się królewna.

— Wiesz, że ty masz jednak pyszną twarz — ciągnął malarz — Słowo daję... To jest coś, jakby poranek o zmierzchu. Sam nie wiem... Jakiś cudowny absurd, bajeczny anachronizm...

Królewna uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Ale, ale, jak bo ty się naprawdę zowiesz, stworzenie przyjemne? Nie wydziwiaj dłużej, tylko powiedz! No?

— Nazwij mnie sam—rzekła królewna—podnosząc na malarza niebieskie swoje oczy.

— Owszem... Jakżebyś ty się mogła nazywać? Zaraz... Od jakiegoś kwiatu naturalnie.

— Fiołek—poddała królewna.

— Skądże? Przecie fiołek to chłopiec, a tyś dziewczyna.. Ot, mam już, nazywaj się Firletka! To taki ładny, różowy kwiat, właśnie jak ty... Dobrze?

— A dobrze, to śliczne imię! — wykrzyknęła, rumieniąc się z radości.—A ty, jak się nazywasz?

— Ochrzczono mnie Jacenty, ale ty nazywaj mnie Hyacynt... Chcesz?

— Naturalnie... Jak my się ślicznie nazywamy—i klasnęła w dłonie z uciechy.

— Słuchajno, Firletko, a może byśmy się tak pobrali? Co?—zagadnął pieszczotliwie malarz.—Pójdziemy razem do miasta, tam na dół, ożenię się z tobą, będziemy mieszkali we wspaniałej kamienicy; na samem szóstem piętrze... Chodzi mnie więcej o drugie tyle bułek... Cóż ty na to?

Królewna spuściła oczy i nie odpowiadała nic.

— Ręczę ci, że lepszej partyi nie znajdziesz. Będę cię malował przez cały dzień, będę coraz drożej sprzedawał moje obrazy, a potem kupię ci zieloną suknię z gronostajami i złotym łańcuchem... Będziesz wyglądała jak jaka królewna zaczarowana... I trzewiki czerwone ci sprawię i codzień będziesz miała ananas na obiad, taki z zielonym wiechciem.

I patrzył jej w twarz wesołemi oczyma, które były i modre i zielonawe i złote, właśnie, jak płynąca woda.

— Czerwone? Mogą być i czerwone? — zagadnęła królewna, patrząc z zadumą na swoje trzewiczki, zczerniałe już i zniszczone, kiedyś ze srebrnej lamy uszyte.

— A jakże. we wszystkich kolorach...— upewniał malarz.

— I będziesz zewsze robić tak, jak zechcę?—badała przezornie.

— Inaczej nawet nie myślałem.

— No, to zresztą...

— Więc pójdziesz?

— Pójdę..

— Dajże ci Boże zdrowie! Ty jesteś bajeczna dziewczyna!—wołał malarz, ani przypuszczając, jak dalece bajeczny zawierał związek.

— A teraz popatrz, zdaje mi się, że to jest pycha, com zrobił—i zbliżył się z płótnem w ręku.

— Szkicnięte piorunem, od ręki, ale jest cały twój charakter! Sterczysz z płótna jak żywa.

— Sterczysz... — zastanowiła się królewna.

— To nic, to tylko takie malarskie słowo... Nauczysz się ich z czasem więcej, Popatrzno!—i zwrócił do niej płótno.

W zawierusze barw i plam, majaczyły niepewne zarysy ludzkiej głowy, Z lewej strony nosa mienił się tęgi, soczysty kobaltowy chlast, ucho pąsowe, niby węgiel rozżarzony zdawało się tylko od niechcenia do twarzy przytknięte. Zielony kontur podcinał brodę.

Królewna się rozpłakała.

— Nie chcę ciebie! Ja tak nie wyglądam—mówiła łkając.—To nieprawda, ja nie mam fioletowego nosa, ani zielonej brody... — i zanosiła się płaczem

— Nie przypuszczałem, żeś taka, — bo, jakby to powiedzieć?—dziecinna, przypuśćmy... zdawało mi się przeciwnie, że mnie pocałujesz w nagrodę, że mi powiesz dobre słowo—mówił, z dąsem, chowając szkic do pudełka.

— Nie jestem dziecinna tylko to, coś zrobił, jest szkaradne, ohydne, obrzydliwe...— wołała ze złością—Śliczny obraz, niema co mówić!

Malarz spojrzał na nią z politowaniem.

— Gdzieś ty się wychowała, dziewczyno? Kto teraz maluje „śliczne" obrazy? Popatrz sama na ten szkic. To jest siła, to jest rzut... Tylko gęsi szukać mogą „śliczności" w obrazie, a ty przecie gęsią nie jesteś..

— No nie... — potwierdziła z przekonaniem królewna

— A widzisz! Ty jesteś tak staroświecka jak twój robron... To teraz wszystko niemodne... Popatrz tylko jak ja pojąłem twój nos Nie historycznie, epokowo, jak Van Dyck lub inne ichtyosaury ale po ludzku, indywidualny, dziecinny, odczuty nos..

— Ale to ucho...—szepnęła żałośnie królewna.

— Ucho! Kto teraz zważa na ucho?.!. Ucho to jest szczegół zgoła nieudany, zbędny w ludzkiej twarzy, lekceważony obecnie przez wszystkich. Zaznacza się je chyba jako przeżytek, coś w rodzaju kostki ogonkowej przypuśćmy... Czy ty nie widzisz, że ta głowa żyje? Nie spostrzegasz w niej tego, czego na pozór nie widać wcale? Spojrzyj tylko z dobrą wolą: przecie nie jesteś gęsią...

— Nie jestem,—przyznała znowu królewna, patrząc na szkic z wysiłkiem.

— Widzisz istotę wyrazu?

— Tak, no tak... Może to jest istota..,

— Perskie oko konia tuczy... Szkoda gadania: Stella, naprzykład, to całkiem co innego Ta się dopiero zna na malarstwie! Zrobiłem jej tu kiedyś pomarańczowy policzek, czerwone oczy i zielony nos, tak, dla eksperymentu, do tego białe włosy, a ona nietylko nie obraziła się, ale mi powiedziała, „droga małpo!"

— Cóż to za Stella?—zapytała niedbale królewna.

— Moja znajoma... Malowałem ją Bóg wie ile razy, napisałem do niej huk wierszy..

— Kochasz ją?

— Nie, ale, zdaje się, będę zmuszony..

— A to dlaczego?

— Boś ty ze mnie nie kontenta.

Królewna Firletka milczała.

— Powiedz mi, jaki wiersz do tej—Stelli —ozwała się po chwili.

— Z chęcią. Ostatni, bo zwykle tylko ostatni umiem na pamięć. Napisałem go w ogrodzie, na piasku, jej własną parasolką. Słuchaj!

Roztlony wrzask zwietrzałych świec
W oczach się mych zwierciedli,
Na strupieszałych marzeń wiec
Szatani mnie przywiedli...

Dzika się we mnie targa moc,
Jak jeleń w pętach kuszcza.
Myśl się jak tysiąc pręży proc,
Lecz głazu nie wypuszcza...

Tętent mych pragnień grzmi o bruk,
Skłębioną, wściekłą mocą,
Wiem, żebym w bezmiar lecieć mógł,
Lecz nie wiem, gdzie i poco...

Skończył.

— Już? — wykrzyknęła królewna.—I to było do Stelli?

— Nie tyle do niej, ile przez nią Teraz się nigdy nie pisze do kogoś, tylko chwyciwszy ton, poddany przez drugą istotę, tworzy się bezwiednie, niechcąc mimochodem...

— A Stelli s.ę podobało?

— Ogromnie. Przepisałem jej na manszecie—i wzięła sobie do domu. Teraz chodzę tylko w jednym. Pewno już umie na pamięć—mówił, ciągnąc na ramię pelerynę.

— Idziesz już?

— Muszę. To daleko, a zresztą zjadłaś mi nie wymawiając, zapasy przygotowane na cały dzień Niech ci jednak służą!—dorzucił wesoło.

— Bywaj zdrowa.—i wyciągnął rękę.

A na to królewna, jak gdyby nigdy nic:

— Idziemy przecie razem..

I poszli.

Ego,



SONET.

—o—

Czemuż wciąż myślę uciekam do ciebie.
I nigdy ciebie zapomnieć nie mogę,
I wzrok odwracam na przebytą drogę,
W tę jedną gwiazdę na pochmurnem niebie?

Przekleństwo! Stokroć przeklinam godzinę.
Gdy się zetknęły różne życia nasze..
W tysięcznych zdrojach męki swoje gaszę,
Przeklinam, gasząc, i z tęsknoty ginę.

Wiem, że napróżno dusza się roztrwania
W pogoni za tym pierzchającym zniczem...
Że klątwa wisi nad tem od zarania.

Wiem, żeś ty marą i widmem zwodniczem,
Że to obłędem było—a jest niczem...
Wiem.., i mrę w szponach wolnego konania.

D. B.



SZEWC.

--o—

Niektóre przesądy wkorzeniły się tak głęboko w nasz umysł, że niepodobna ich stamtąd ni logiką, ni szyderstwem wyścigać.

Powiadają: „upił się jak szewc"!

Dlaczego nie mówią: jak stolarz, krawiec?

Dlaczego właśnie ten biedny szewc, ten parias w hierarchii rękodzielniczej, ma służyć za przysłowiowy wzór pijaka?

Widziałem raz dwu malców, wracających ze szkoły. Kłócili się i czubili po drodze, jak dwa młode kogutki, mimo to szli wciąż razem. Młodszy pienił się ze złości, opluwał starszego i „przezywał"; starszy, flegmatyk, za każde przezwisko odpowiadał milczącym szturchańcem w bok, lub przypłaszczeniem czapki na głowie młodszego kolegi.

Stanęli koło parkanu.

— Szewc — parsknął młodszy.

Na to starszy: łup po głowie.

— Szewc! — łup! — szewc! — łup! — szewc! — łup!

Staję ja także i myślę: Ciekawa rzecz, kiedy to się skończy?

Młodszy wciąż jeszcze wołał: szewc, szewc,... ale już beczał na dobre — starszy pogroził mu wspaniałomyślnie pięścią pod nosem i poszedł w inną stronę.

W kilka lat później przychodzi do mnie młody student z listem polecającym i prosi o zajęcie w kancelaryi

— Pan uczęszcza na prawo?

— Tak.

— I nie ma pan pomocy z domu?

— Niestety, nie.

— Jest pan może sierotą.

— Nie, ojciec mieszka w Łodzi.

— A co robi?

Młodzieniec zaczerwienił się, odwrócił głowę w bok i szepnął:

— Jest szewcem...

Nie sądźcie, że był to ten sam chłopczyna, który okładał swego kolegę przed laty obok parkanu, — nie, to był młodzieniec inny. Jedynie pogarda dla słowa „szewc" łączyła go węzłem pokrewieństwa z tamtym.

R. M Bobuta.



Echa wojny.

Czytamy w gazecie „Russkij Listok":

„O nadzwyczajnej przebiegłości japończyków słyszy się wiele dziwnych rzeczy, ale trudno uwierzyć w fakt, o jakim opowiadał kapral 55-go laruskiego pułku piechoty, Istomin, przywieziony do Moskwy z partyą rannych.

— D. 15 października—mówił kapral—rota, w której służyłem, została wysłana pod dowództwem podporucznika K. naprzód celem sypania okopów dla zbliżającego się pułku. Zatrzymaliśmy się o 15 wiorst od toru kolejowego, w pobliżu rzeki Szache i rozpoczęliśmy robotę. Było to w samo południe. Nie upłynęła nawet godzina, gdy podjechał do nas jakiś oficer i ze zdziwieniem mówi:

— Co robicie? Przecież tu obok, nie dalej jak o wiorstę, pod tą wsią znajdują się śliczne niezajęte okopy.

Zbliżył się podporucznik, aby się dowiedzieć, o co idzie. Oficer powtórzył to samo i zapewnił, że trudno wybrać pozycyę zwłaszcza gotową, wygodniejszą od tej, obok której przed chwilą przejeżdżał. Usłużny oficer zaofiarował się doprowadzić rotę do owej pozycyi, a na miejscu radził zostawić jednego lub dwóch ludzi, którzyby poczekali na nadejście pułku.

Uszykowaliśmy się i ruszyli, prowadzeni przez oficera.

Zbliżyliśmy się do wsi o jakie 100 kroków, gdy nagle dała się słyszeć salwa wystrzałów i w tej samej chwili oficer ruszył z kopyta.

Podporucznik nasz nie stracił przytomności, zakomenderował salwę do uciekającego i kazał się cofać.

Cofaliśmy się, ostrzeliwając się od Japończyków, którzy wypadli ze wsi, zabrali oficera, który raniony spadł z konia i poczęli strzelać do nas. Źle było z nami, wielu z nas poległo, wielu zostało rannych, jak i ja".

⁂



Jenerał-adjutant Kuropatkin na czele głównego sztabu.

Bardzo ciekawe szczegóły podaje „Standard" o wynikach długiego przebywania dwóch armii w Mandżuryi w bezczynności.

Pomiędzy wywiadowcami rosyjskimi a japońskimi ustaliły się stosunki poufałe, na wpół-przyjacielskie.

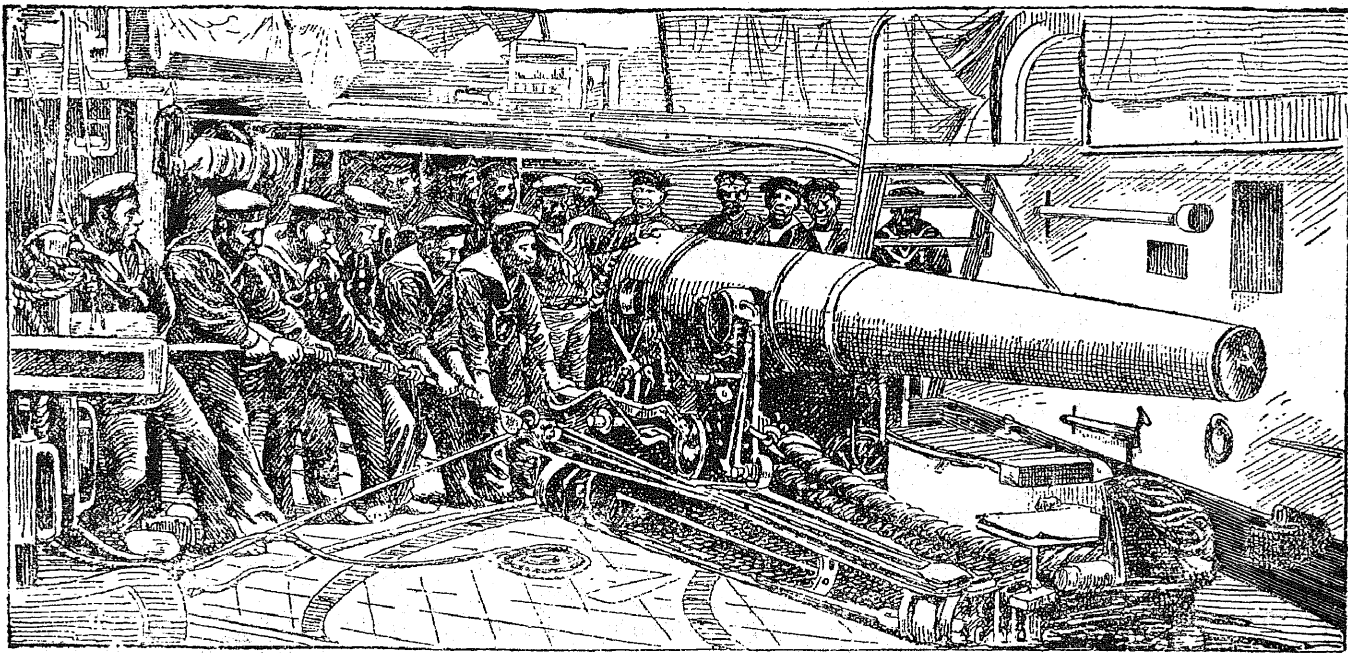
Np. pewnego razu w nocy, japończycy zabiegli na wzgórza, gdzie w grocie w przeddzień nocowali ochotnicy rosyjscy.

Japończycy, opuszczając jaskinię, rano pozostawili list do rosjan i butelkę koniaku. Między innemi w liście tym japończycy prosili „uprzejmych rosyan, ażeby pomyśleli o zdrowiu swojem i japończyków i nie pozostawiali w jaskini różnych odpadków z błotem, oraz wogóle utrzymywali ją w czystości."

Nazajutrz japończycy znów przybyli do groty i znaleźli list rosyjski z rublem.

Proszono ich w liście, ażeby nie okazywali się dzikimi i nie męczyli rannych. W odpowiedzi japończycy odpisali, że nie krzywdzą rannych, na dowód czego przedstawili fotografię, wyobrażającą wojskowych japońskich, spokojnie rozmawiających z więźniami rosyjskimi.

⁂



Marynarka japońska kieruje swe działa do bombardowania Portu Artura.

Z Tokio piszą, że Japonia odczuwa już obecnie bardzo boleśnie skutki toczącej się wojny. Drożyzna wzrasta nieustannie. Wszystkie artykuły, z wyjątkiem ryżu, podskoczyły znacznie w cenie—przeciętnie o 30 procent. Zmniejszony dowóz mąki z Ameryki daje się dotkliwie odczuwać. Skutkiem zastoju w wyrobie przedmiotów zbytku mnóstwo robotników straciło zajęcie. Podniosły się także do niebywałej wysokości ceny czynszów. Obecnie w całem Tokio nie dostanie mieszkania niżej 75 jenów miesięcznie, gdy natomiast przed wojną płaciło się nawet za bardzo przestronne mieszkania po 30 jenów. Dodać zaś wypada nawiasem, iż wedle przyjętego w Tokio zwyczaju, najmując mieszkanie składa się tytułem kaucyi sumę równą kwartalnemu czynszowi, która pozostaje w depozycie dopóty, póki lokator zajmuje mieszkanie, poczem albo wraca do lokatora, albo też—w razie niezapłacenia czynszu—staje się własnością wynajemcy.

✡

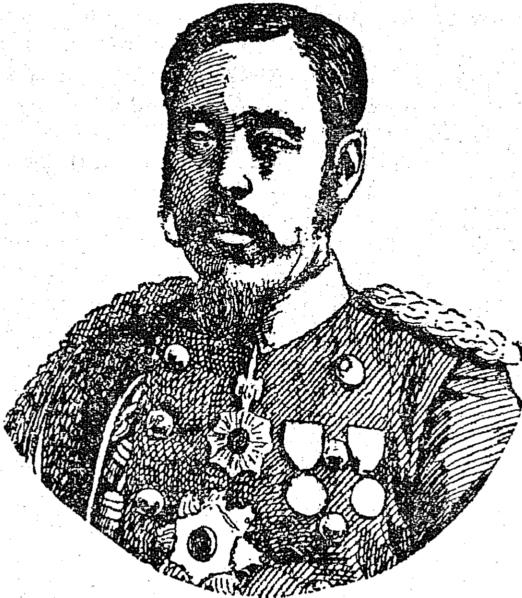
O dowódcy 1-ej armij mandżurskiej generale Leniewiczu, pisze „Dniewnik wojny“: „Generał piechoty, Mikołaj Leniewicz, zwany śród chińczyków i japończyków „wilkiem mandżurskim“, pochodzi ze znanej rodziny polskiej i katolickiej. Rodzona siostra generała Teresa, zajmuje obecnie wybitne stanowisko przełożonej żeńskiego klasztoru wychowawczego „Sacré Coeur“ we Lwowie, w którym wychowało się wiele przedstawicielek spółczesnej arystokracyi polskiej. Młodszy brat generała, prawnik, mieszkał długo w Krakowie, gdzie cieszył się wielkiem szacunkiem i umarł, zapisawszy dom swój na cele dobroczynne.

„Leniewicze—to typowy kresowy ród polski, którego członkowie w ciągu długich stuleci, z bronią w ręku, bronili wschodnich granic byłej Rzeczypospolitej przeciwko Tatarom i Turkom. Posiadali wielkie majątki w obecnej gubernii wołyńskiej i czernichowskiej.

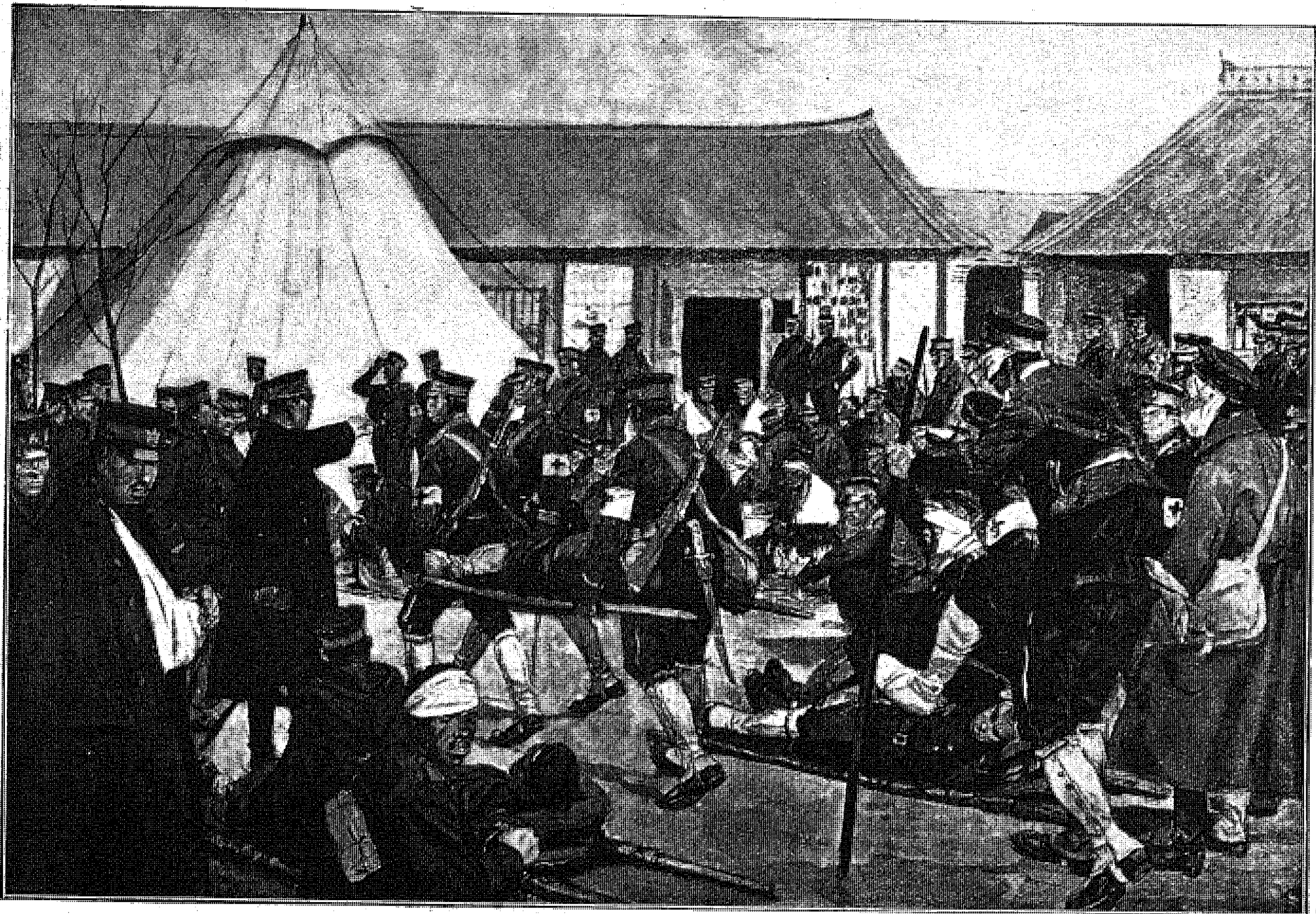
Ojciec generała, pułkownik armii rosyjskiej, człowiek bogaty, odznaczał się niezwykle szlachetnym charakterem i wysoko rozwiniętem poczuciem honoru, więc też cieszył się w sferach wojskowych wielkiem poważaniem i popularnością. A jednak padł ofiarą właśnie tych zalet swego charakteru. Ostatnie lata życia swego pułkownik Leniewicz spędził ze swym pułkiem w Jurburgu. Zdarzyło się, że jeden z jego podwładnych, popełniwszy plamiące honor przestępstwo, uciekł, jak przypuszczano, za granicę. Na dowódcę pułku spadła nie tylko faktyczna odpowiedzialność, lecz i podejrzenie, uwłaczające jego honorowi, a którego nie mógł zrzucić. Tego Piotr Leniewicz przeżyć nie mógł.

W kilka godzin po jego tragicznej śmierci otrzymano urzędową wiadomość, że przestępca schwytany, przyznał się. Honor był uratowany, lecz pułkownik leżał już w trumnie. Wdowa zachorowała ze zmartwienia, umieszczono ją w domu zdrowia dla obłąkanych.

Po nieszczęśliwem małżeństwie zostało sześcioro nieletnich dzieci, których wychowaniem zajął się rząd. Najstarszy syn, obecny generał, oddany do korpusu kadetów, skończył kurs z odznaczeniem. Później z ojcowską troskliwością zajął się wychowaniem młodszego rodzeństwa.“



Marszałek Jamagata, głównodowodzący armją japońską.



Ranni japończycy, wracający z pola bitwy.

W toczącej się obecnie wojnie na Dalekim Wschodzie, torpeda odegrała już swoją ponurą, krwawą rolę — i przyszłe losy walk, w wysokim stopniu będą zależne od umiejętności w użytkowaniu tego środka

Dla szerokiej, czytającej publiczności, istota i geneza wynalazku może być zajmującą.

Na zapytanie, co jest torpeda, objaśnić można: jest to zbiornik materyałów wybuchowych, zaopatrzony w przyrząd, wywołujący eksplozyę, określoną ściśle co do czasu i miejsca.

Wynalazcą torpedy jest Robert. Whitehead, urodzony 3 stycznia 1823 r. w Bolton-le-Moors (Lancaschire). Pracę zawodową rozpoczął w Manchester w fabryce maszyn, pod kierownictwem swego wuja W. Snofta. W fabryce tej pracował lat 6, wieczorami zaś uczęszczał na kursy teoretyczne.

Z Manchesteru przeniósł się do Marsylii, do warsztatów okrętowych, gdzie pozostawał przez 3 lata, następnie zaś udał się do Medyolanu.

Tu zajął się budową maszyn i przyrządów przędzalniczych

Z Medyolanu przeniósł się do Tryestu i przez 2 lata pracował jako konstruktor Lloydu austryackiego.

Około 1858 r. założył w Fiume nad zatoką Quarnero fabrykę maszyn okrętowych, którą następnie zamienił na fabrykę, słynną na cały świat, torped.

Pierwsza torpeda wyszła z warsztatów w 1866 r., a wymiary jej średnicy 355 mm., długość 3 m. 35, waga 136 kilog., ładunek materyału wybuchowego 8 kilog., ciśnienie zgęszczonego powietrza w zbiornikach 25 atmosfer. Maszyna „compound“ oscylacyjna.

Torpeda posiadała regulator, służący do ustalenia chyżości pocisku, która w miarę opadania ciśnienia w zbiorniku, musiałaby się ciągle zmniejszać. Chyżość ruchu torpedy wynosiła 6 do 7 węzłów, czyli 10,950 — 12,755 metrów na godzinę—obecnie szybkość jest znacznie większa. Długość przebytej drogi równała się 640 m.

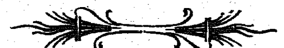
Z tą torpedą w 1867 r. dokonano szeregu prób, jednakże rezultaty wypadły niepomyślnie. Trudności główne stanowiły niemożność regulowania głębokości zanurzenia pocisku. Wahanie dochodziło od 0 do 8 m. pod linią wodną. Ogromną pracą i usilnemi staraaiami Whiteheada, cel osiągnięto w rokn 1868. W roku 1870 pierwsza Anglia nabyła, po próbach, dokonanych w arsenale w Sheerness wynalazek i zapłaciła pomysłowemu konstruktorowi za prawo konstrukcyi torped w Anglii dla swojej marynarki 700;000 rubli, nie licząc 25,000 rubli, jako zwrot kosztów prób dokonanych i podróży.

Za przykładem Angli podążyła Francya w r. 1872, a w rok później Włochy i Niemcy. Później zgłosiła się Szwecya, Dania, Turcya, Rosya, Portugalia, Argentyna, Belgia, Chili i Grecya.

Najpóźniej zaprowadziła tę nowości dla swojej marynarki Japonia, posiada zatem konstrukcye najbardziej pod względem technicznym udoskonalone.



W Charbinie odbyło się pierwsze posiedzenie zarządu Towarzystwa, pod przewodnictwem głównego dowódcy armii, dla okazania pomocy ludności chińskiej, która ucierpiała skutkiem wojny rosyjsko-japońskiej. Sympatyczny cel Towarzystwa ściągnął ogólne poparcie ludności. Masy chińczyków zrujnowanych uciekają na północ pod naciskiem krzyczących niesprawiedliwości okrutnych japończyków, ratując życie swoje i honor swoich kobiet. Położenie zbiegłych z chwilą nastania mrozów jest okropne. Konieczna jest natychmiattowa pomoc. Ofiary są przyjmowane w Charbinie, w oddziale rosyjsko-chińskiego Banku i w sztabie zaamurskiego okręgu wojennego, oraz u prezesa komitetu admirała Czyczagowa. Wybrano na zastępcę prezesa zarządzającego koleją generała Horwata, na skarbnika dyrektora oddziału Banku rosyjsko-chińskiego w Charbinie Gabryela.



Goniec humorystyczny.

Obrazki teatralne.

II.

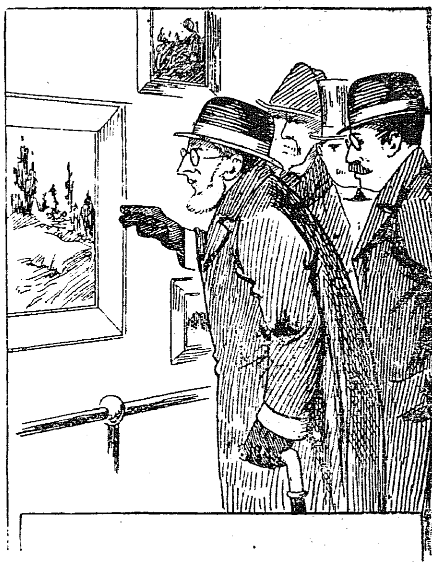
Przyjechała, zwyciężyła
Wszystkich łodzian bez wyjątku.
Że Warszawa ją puściła
Brakło chyba tam rozsądku.

Bo czy gra młynarkę w „Kole"
Czy szaloną Julkę „w Sieci",
Czy też inną jaką rolę —
Każdy do teatru leci.

Ma być pono u nas stale,
By dramatu dzierżyć berło.
Ach to pięknie! doskonale!
Łódź mieć będzie teatr.. z perłą.

Grz. Boj.

Sub rosa.



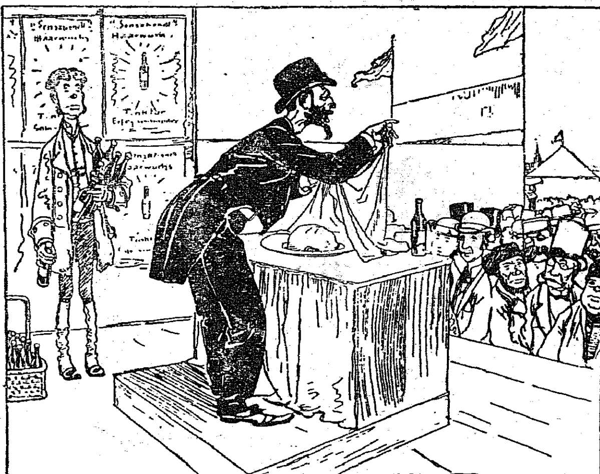
— Stanowczo kupuję ten krajobraz!
— Nic nadzwyczajnego.
— Przeciwnie, cóż za wspomnienia, ot, tam w dolinie, w szwajcarskim domku zaręczyłem moje trzy córki.

U Hersego.



— Czy pan Bobkiewicz zapłacił ten ostatni rachunek na trzysta rubli?
— Nie, proszę pani dobrodziejki, zapłacił tylko przedostatni rachunek na dwadzieścia rubli.
— To niegodziwiec, o mnie zapomina i wprzódy płaci rachunek swojej żony.

Cudowny płyn.



Hej, panowie! piękne damy!
Śmiem polecić bez reklamy
Płyn na porost bujnych włosów,
Więc sięgnijcie do swych trzosów
I kupujcie, młody, stary:
Duży flakon—trzy talary.
Lecz nie sądźcie, że to blaga,
Jeśli próby kto wymaga,
Eksperyment w moment zrobię:
Łysej zleję łeb osobie.



Proszę! Głowa tego pana
Wszak podobna do kolana,
Moim płynem tak wnet zrobię,
Że włosami ją ozdobię.
Dziesięć kropel, lecz niewięcej
Na pięć starczy aż miesięcy

Teraz przykryć na minutę,
A cebulki zeschłe, strute
Wnet ożyją. W mgnieniu oka



I.., czupryna jest wysoka!

Oda do plajty.

Plajto! co trapisz łodzian wciąż tak srodze,
Pohamuj trochę chroniczności wodze,
Obluźnij pęta! Męczysz ich okropnie!
Niech cię gęś kopnie!

Plajto! przez ciebie pawiak przepełniony.
I upadłości szereg niezliczony,
Protestów miljon stale u rejenta, —
Bądźże przeklęta!

Ładny posag.

— Panie Rumpelmeyer, a co pan daje w posagu swojej córce?...
— Ja jej daję dużą fabrykę, która przy porządnej plajcie może przynieść conajmniej trzydzieści tysięcy rubli.

Przezorny.



— Izydor z moją żoną! To łotr... Kości bym mu połamał, gdyby nie to, że jutro mam mu płacić tysiąc rubli z wekslu.

Mściwa.



— Antoś miał być punktualnie w parku o piątej, już blizko szósta, a dotychczas go niema. Zemszczę się i zaczepię którego z tych facetów.

Powiedz mi dziewczę...

Powiedz mi dziewczę cudne ty moje,
Czemu w twym oku łza ciągle gości?
Czy umęczyły cię życia znoje?
Czyś niezaznała nigdy radości?
Czy cię porzucił luby na wieki?
Czy cię zasmuca przykra rozłąka?
Czy myśl twa biegnie het, w świat daleki,
Gdzie na rozdrożach luby się błąka?
Czy zwiódł cię może obietnicami,
A z twego serca zrobił zabawę
I znikł daleko po za górami?
Czy przez to oczy twoje tak łzawe?
— O nie!—płaczliwie dziewczę odpowie,
— Lubego nie mam, miłość, mi na co?
— Lecz o przyczynie łez pan się dowie:
— Widząc, że Duncan tak dobrze płacą,

— Pewną ja byłam, że też potrafię
— Tańczyć jak ona nóżkami boso,
— Więc się zajęłam choreografią,
— Bom wszak przystojna z mą długą kosą?
— Lecz gdym ujrzała me bose nogi,
— Przeklęłam losy nielitościwe,
— Jakże nie płakać, mój panie drogi,
— Gdym zobaczyła, że nogi krzywe?
— Na nic me plany, na nic marzenia,
— Na nic me wielkie cudne nadzieje,
— Nie pozostało z nich nawet cienia —
— Więc wiesz pan przez co wciąż łezki leję.

Grz. Boj.

Zdanie.

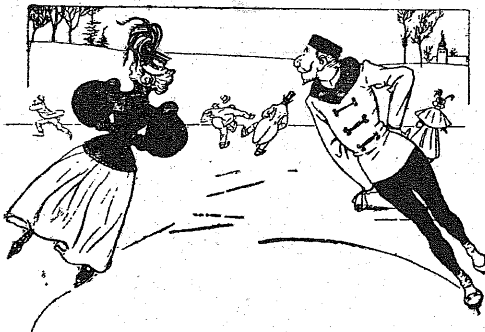
Autor: Jakże się sz. panu podobał mój przekład z angielskiego?

Krytyk: Wiesz pan co? Przetłómacz go pan czemprędzej znów na angielski.

Ballada na lodzie.

—o—

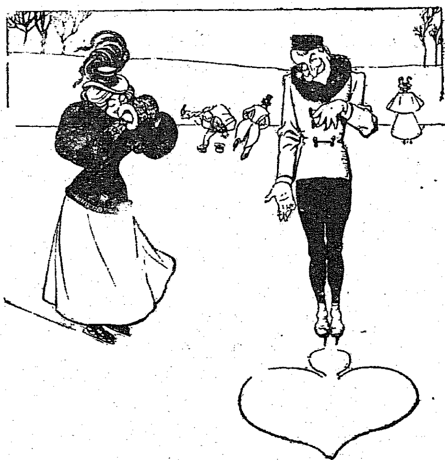
Był zimowy czas,
Na ślizgawce raz
Ujrzał Goguś dziewczęz hoże,
Lecz czy piękne w bajki włożę,
Gdyż niepłonął gaz.



Lecz że miała szyk,
Goguś w jeden mig
Do „holendrów" ją zaprasza,
Jadą razem, górą nasza!
Romans jest jak byk.



Czując w sercu szał,
Gogo, tak jak stał,
Chce jej wyznać swoje myśli
I łyżwami serce kreśli,
Bo mówić się bał.



Ona wet za wet
Odpowiada wnet
Ile posag jej wynosi,
Mufkę w rękach swych miętosi, —
On aż schyla grzbiet.



Na kolana w lot
Z całej siły grzmot
Mówi do niej:—ach kochana,
Serce moje, ma wybrana,
Bije tak jak młot



Pani moja, ach!
Kocham cię, aż strach!
Powiedz, czy mnie kochasz czule
A do serca cię przytulę,
Nie—to będzie krach.

MAŁŻONEK DOKTORA.

HUMORESKA.

Mecenas Ozorkiewicz siedział przy biurku, zajęty przeglądaniem aktów swych klientów, gdy nagle służący, powoli drzwi otwierając, zameldował:

— Panie Mecenasie, interesant..

— Proś!

— Jak się masz Wiktorze! — zabrzmiał głos wchodzącego.—Wybacz, jeśli ci przeszkadzam!...

— Witaj mi, Tadziu! Siadaj proszę.

Gość, Tadzio, mężczyzna lat trzydziestu, był ubrany bez zarzutu, może nawet przesadnie. Jasny, długi wąs, okrywający górną wargę, sztywno podkręcony do góry, zdawał się jakby palcem pokazywać na nieco łysiejącą czuprynę. W lewem oku trzymał ciągle szkiełko bez sznurka, a że w mowie przeciągał z angielska, robił osobą swą wrażenie sporstmana, lub, co najmniej, członka arystokratycznego klubu.

— Sądziłem, że cię nie zastanę w domu. Masz, widać, dużo roboty.

— Gdzie tam — ciężkie czasy!

— Im cięższe dla ludzi, tem lżejsze dla was, adwokatów.

— Zawsze żartujesz! Ale, czemu mam twe odwiedziny zawdzięczać? Czybyś miał jaką sprawę?

— Nie, tak głupi nie jestem! Chciałem cię tylko o radę prosić... chodzi tu o moją żonę!

— A, o twą żonę, o doktora-Jadwigę?

— Tak, o doktora-Jadwigę, — powtórzył Tadeusz, cedząc każdą zgłoskę. Wiesz, żem się ożenił z miłości, chociaż mnie odstraszano tą jej medycyną. Była w przededniu egzaminów. Ustąpiłem tej jej zachciance, sądząc, że się obetnie. Ale gdzie tam, złożyła je z odznaczeniem. Wszystko jednak byłoby jaknajlepiej, gdyby nie szalona fantazya praktykowania. Jak ja wobec tego wyglądam, jaką odgrywam rolę?

— Najwygodniejszą na świecie, rolę rentiera.

— Ba! Jestem niczem, w pełnem znaczeniu tego słowa, zbyteczną istotą. Gdy Jadzię napada ironia, nazywa mnie „Golarzem baranich skórek".

— Dowcipnie!

— Powiadam ci, Wiktorze, gdybyś był na mojem miejscu, śmiałbyś się baranim głosem! — W towarzystwie rekomendują nas: „Pani doktór-Jadwiga X... pan Tadeusz X!" Jestem wciąż na szarym końcu, jakimś ogonkiem, epilogiem, który da się każdej chwili odrzucić! A jak mnie ona morduje! Wieczorem, przed snem bada mi puls, rano muszę jej język pokazywać. Niedawno chciała doświadczać na mnie nowego systemu odtłuszczania! Przy śniadaniu, gdy chcę ją objąć i pocałować w czoło, odpowiada mi: „Tadziu, poczochrasz mi włosy! Poczekalnia pełna pacjentów — cóż oni sobie pomyślą!"

— Hm! mruknął adwokat.

— Przy obiedzie opowiada mi z zapałem o różnych ciekawych wypadkach klinicznych, aż mnie ciarki przechodzą, a co najgorsze, że tracę przez to apetyt!

— Tem więcej żal mi cię, bo wiem jaki z ciebie smakosz.

— W domu sam karbol, wszystko czuć karbolem, nawet całusy żony.. ale nie koniec na tem.

— No, no? — rzekł zaciekawiony mecenas, przechylając się naprzód na krześle.

Tadeusz podkręcił wąsa do góry, odchrząknął i zmienionym głosem ciągnął:

— Wyobraź sobie, kilka dni temu Jadzia kazała nad dzwonkiem od ulicy przybić świecący w nocy szyldzik: „dzwonek do lekarza". W tem właśnie sęk.

— Biedny Tadziu!

— Młoda, ładna kobieta, która pozwala na to, żeby ją w nocy wydzwaniali z mieszkania, czyż to nie szczyt ironii prawom małżonka? Nie możesz sobie wystawić, co ja od tej chwili przechodzę! Czuję, że cała moja energja poszła do licha. Co chwila myślę: O, teraz zaraz zadzwonią! Zwarjuję, jeżeli to dłużej potrwa.

Mecenas w zamyśleniu pogładził brodę.

— Tak, mój drogi! Niestety niema takiego paragrafu prawa, któryby zabraniał doktorom szyldzików nad dzwonkami. Prawodawca tego nie przewidział

— Mój Wiktorze, ty musisz jakiś środek wynaleźć. Wy adwokaci macie na wszystko sposoby.

Mecenas podparł ręką głowę i zamyślił się. Nagle uśmiech zaigrał na jego obliczu, uderzył ręką o biurko i zawołał.

— Eureka!

— Czy może być?

— Sposób wprawdzie nieco ryzykowny i łobuzerski, ale w takich razach cel uświęca środki. Zwolnij się dziś wieczór przed żoną, wymyśl partyę winta, lub inny jaki pretekst i urządź sobie kolacyjkę z jaką wesołą damą w oddzielnym gabinecie, w pobliżu swego domu.

— Dobrze, ale gdzie ja taką damę znajdę?...

— To pozostawiam już twemu pomysłowi. Wszak z dawnych czasów musisz mieć jakieś znajomości.

— No, a cóż dalej?

— Koło dwunastej, pierwszej w nocy, nagle zachoruj.

— Co?

— No, robi ci się niedobrze. Dzwonisz

Ach kochanku mój!
Moich marzeń rój
Tak szeroki i tak duży,—
Że wytrzymać trudno dłużej,
Masz mych uczuć zwój.



W miesiąc był ich ślub —
Goguś znalazł grób
Bo był posag, lecz na lodzie.
Tak to dzisiaj zwykle w modzie —
Palnął sobie w czub.

Iglik.

SĄ SPOSOBY.

Maks skarżył się przed druhem, że w stagna-[cyi porze
Odprzedać swej fabryki z korzyścią nie może;
Druh na to: mądry człowiek nie zna, co sta-[gnacya,
Bo od czegoż jest ogień i asekuracya?

Podróż dyablika do Łodzi.

I

W piekle powstał rwetes duży,
Że wytrzymać trudno dłużej:
To Belzebub w gniew wpadł srogi,
Aż się na łbie trzęsą rogi.

Gniewu tego zaś przyczyną:
Dyabeł kusy oraz wino,
Bowiem dyablik się odznaczył
I portweinem się uraczył,

A że w piekle na pijaka
Kara jest niebyłe jaka,
Więc Belzebub sąd zwołuje
I djablika procesuje.

Zapadł wyrok, jego mocą,
Dziś, natychmiast, jeszczę nocą,
Będzie zesłan pan dobrodziej
Na wygnanie. Gdzie? Do Łodzi!

Trzy dni w Łodzi przebyć musi,
Choć się dyablik kręci, ksztusi,
Nie pomoże tu błaganie,
Władca kazał—tak się stanie.

Nie znajdując więc wybiegów,
Żegna dyablik swych kolegów,
Żegna panny czarnolice
I rogate vel dyablice.

I z odjazdem swym nie zwleka,
Czółno już na niego czeka,
I wśród wielkich łez powodzi
Charon wiezie go do Łodzi.

II.

Marny wieczór był zimowy,
Deszcz ze śniegiem do połowy
Trotoary pokrył błotem,
Po Piotrkowskiej dryndy lotem
Mkną co chwila, jedna, druga,
Naraz postać dziwnie długa
Złazi z dryndy, przed hotelem
I rozmawia z właścicielem,
Prosi o numerek mały,
Znoszą kufer okazały,
I po chwili, przybysz młody
Wchodził śmiało już na schody.

Poznasz zaraz czytelniku,
Że tu mowa o dyabliku
Który całkiem zmienił postać:
Rano, żeby zmienić postać
Siedział długo u fryzyera,
Goli, czesze się, przebiera,
A gdy swe wygładził lice
Wnet wychodzi na ulicę.

Przeraziły go tramwaje,
Zadziwiony w rynku staje
I wpatrzony w nie oczyma,
W piekle, myśli, takich niema.

A łodzianki, jakie zgrabne,
Eleganckie i powabne
Wszystkie strojne jak magnatki,
A rumiane jako kwiatki.

Spacerował przez dzień cały
Nasz dyabełek kusy, śmiały,
Do teatru zaś wieczorem
Elegantów idzie wzorem.

III

Łódź to miasto które słynie,
Że w niej znają się na winie
A i w piekle sławę mają.
Że wybornie w karty grają,

Lecz gdzie wiedza lub nauka
Tam się darmo łodzian szuka.
Od zwiedzania zaś teatru
Odciąga ich powiew wiatru.

Zdziwił djablik się niemało,
Że tak mało się zebrało
Publiczności na premierze;
Mógł się dziwić, ja w to wierzę.

Po teatrze coś mu chłodno
A że przytem trochę głodno,
Więc zachodzi na libacyę
Do Kronena na kolacyę.

Wypił wódkę, zjadł pasztecik,
Befsztyk, potem znów omlecik
Do kompanii wziął murzynkę
No... i puścił się tak .. krzynkę...

Lecz, o nieba! W uczty czasie
Poczuł bóle w dołku, w pasie,
Czuje dziwne szumy w głowie,
Aż całego drąży mrowie.

Wyjaśniła się rzecz cała
To kolacya tak działała

. . . .

Po atakach bardzo wielu
Dyablik czmychnął do hotelu.

IV.

Przez następne dni zesłania,
Nie mógł nawet zejść z posłania,
Aż nareszcie na dzień trzeci
Kelner doń z depeszą leci.

A depesza prosto z piekła,
Treść jej wcale nierozwlekła:
„Widzę z piekła twe katusze,
„Więc z wygnania zwolnić muszę.

„Ruszaj w drogę zaraz z Łodzi,
„Ruszaj szybko pan dobrodziej,
„Czeka cię dyablica luba. —
Rozkaz to był Belzebuba.

Dyablik wnet na kolej rusza,
Aż mu się raduje dusza,
Już nie patrzy na łodzianki,
Tak mu pilno do bogdanki.

Dziś już w piekle jest z powrotem
I wspomina ciągle o tem
Jaki w Łodzi jest porządek.
Że tam zepsuł swój żołądek.

Iglik.

List znaleziony na ulicy.

Szanowna Redakcyo! (przekreślone). *Redakcyo!* (przekreślone). *Kramie słowa drukowanego!* (przekreślone).

Cóż wy łotry, łajdaki, sobie myślicie? (przekreślone).

Zaiste, czelność waszych humorystów, nieuznających żadnych zasług i strącających z piedestału ludzi sędziwych (przekreślone).

Dużo trzeba odwagi (przekreślone). *Nie mam zwyczaju gniewać się na tych, co w zaślepieniu swem idą* (przekreślone).

Dziękuję za reklamę w piśmie poczytnem.

Z uszanowaniem
Krytyk teatralny „Rozwoju"
i kronikarz tegoż pisma.

ZRÓWNAJĄ SIĘ.



Mama. Czy uważasz mężu, ten narzeczony naszej Melci o całą głowę niższy od niej wzrostem.

Papa. No, co to szkodzi! Jak mu położę na głowę worek z posagiem to się zrównają.

na kelnera i mówisz mu: „Źle mi się zrobiło.. proszę mi natychmiast sprowadzić mego domowego lekarza" — i dajesz mu adres twojej własnej żony. Rozumiesz? Reszta sama z siebie wyniknie.

— Niech cię djabli!

Tadzio zerwał się z krzesła i namiętnie począł mecenasa ściskać.

— To mi adwokat! Jesteś największym ze wszystkich kauzyperdów.

— I wybiegł jak strzała.

. . . .

Zegar zaledwie wskazywał kilka minut po dziewiątej rano, gdy Tadzio wpadł zadyszany do gabinetu mecenasa.

— No i cóż? — zapytał adwokat zaciekawiony.

— Wiktorze, nie mam słów wdzięczności dla ciebie! Wszystko poszło jaknajlepiej. Uważasz, wytrzasnąłem przypadkiem dawną jedną miłość. Jest teraz jakąś śpiewaczką w operetce. Kolacya była wyśmienita — ani śladu karbolu. Punkt o drugiej w nocy — spóźniłem się nieco—dostaję strasznych kurczów w żołądku, a punkt o wpół do trzeciej zastaje mnie żona, jako pacjenta w objęciach rywalki.

— A wrażenie?

— Nie do opisania. Jadzia zemdlała, musiałem jeszcze po jednego doktora posyłać. Gdy przyszła do przytomności rzekłem:

— Widzisz, wszystko to stąd, że mam żonę ze świecącym w nocy szyldzikiem.

— No i dalej?

— Dziś z samego rana kazała zdjąć szyldzik i oświadczyła mi, że nie będzie zajmować się praktyką. To też jedziemy na lato do Zakopanego.

— A honoraryum za wygraną sprawę?

— Chodź, pójdziemy do Stępka...

Filip z Konopi.

W restauracyi.

Gość. — Kelner, ten befsztyk jest twardy i stary. Zawołaj mi bufetową.

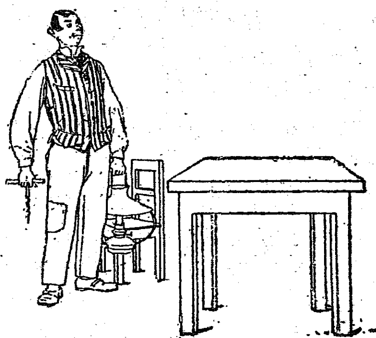
Kelner. — Mogę zaręczyć, że bufetowa wcale nie jest młodszą.

Za przykładem starszych.

— W co się bawicie, dzieci?
— W „doktora", papo.
— A co Wacio robi tam na tej szafie?
— Wysłaliśmy go w góry na świeże powietrze.

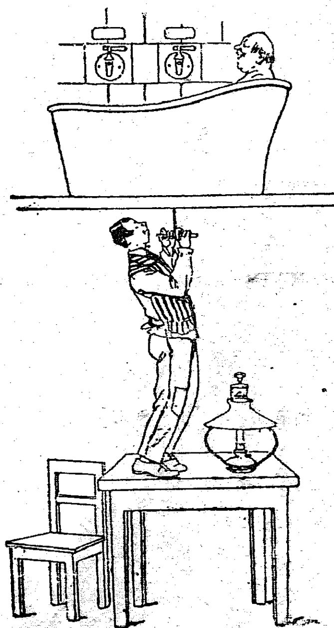
Bolesna kąpiel.





Miał mieszkanie z wygodami
Pan Agapit, znany wszędzie,
To też w domu swym, czasami,
Zdrowie mając swe na względzie,

Kąpał swoje pulchne ciało,
Delektując się ciepłotą,
Lecz co w wannie mu się stało
Raz wieczorem, dziwnie plotą:

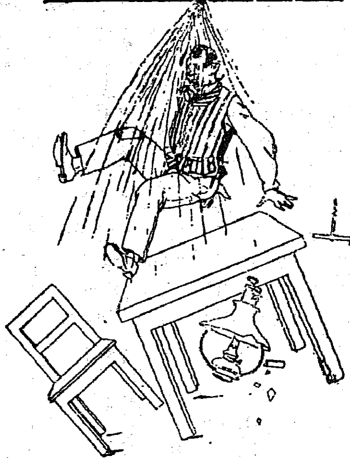


Siedząc w wannie, poczuł nagle
Dość bolesne jakieś kłucie,
Gdzieś pod krzyżem niedaleko,
Lecz gdy brzydkie to uczucie

Trwało, Gapcio skrzywił usta,
W jedno mgnienie skoczył z wody,
Patrzy—w moment wanna pusta
(Kąpał wprzódy się do brody).

Wnet się jednak wyjaśniło,
Co sprawiło ból niemiły
Ot, rzemieślnik na parterze
Swidrem wiercił co miał siły





Cienki sufit, by na haku
Módz powiesić lampę nową,
A przewiercił sufit, wannę
I część ciała Gapcia zdrową.

Woda upust zaś znalazła
I gwałtownie na dół bieży,
Zlewa szczodrze rzemieślnika,
I w nim straszny postrach szerzy.

Z tej przygody jednak przykrej
Nasz rzemieślnik wyszedł cało.
Tylko Gapcia niżej krzyża
Przez pół roku coś bolało.

Grz. Boj.

W salonie.



Pani domu (do siebie): Ci bracia Geszwindowie, to zupełnie jak bracia sjamscy. Jeden ani rusz bez drugiego, chodzą jak zrośnięci. Ciekawa rzecz, co by wynikło, gdybym się w którym z nich zakochała!

Ptaszki w klatce.

Czegoż płaczesz? — staremu mówi Czyżyk
[młody —
Masz tutaj w klatce dobry wikt i wygody;
Nieźle mi tu—rzekł stary—ale mnie to złości,
Że bezemnie szacują masę upadłości.

—o—

W porę trafił.

W salonie liczni goście. Nagle wpada siedmioletni synek pani domu z krzykiem.:

— Mamo, mamo! Wujcio podarował mi mikroskop, może masz pchłę przy sobie?

Solidarnie.

Fabrykant, w interesie nadszarpnięty trocha,
Dowiedział się, że wspólnik, jego żonkę ko-
[cha;
W gniew tedy. Wspólnik na to: „Niech cię
[mór ogarnie",
Przecież wszystko musimy robić solidarnie".

Szczęśliwie trafił.

Pewien żonkoś, po sutej libacyi na mieście w gronie kolegów, wraca nieco podcięty do domu o 3 godzinie w nocy. Na schodach, po których z mozołem wdrapywał się do góry, spotyka nagle lekarza, który winszując, zwiastuje mu nowinę, iż został ojcem trojaczków. Podchmielony ojciec wyciąga zegarek z kieszeni, który właśnie pokazuje trzecią. „Ach—rzecze—nie jestem zabobonny, ale jakie to szczęście, że nie wróciłem do domu o godzinie dwunastej".

Mój romans.

Stały w okienku dwie doniczki,
W doniczkach kwitły róże,
Z poza nich na mnie zaś patrzały
Jej oczy cudne, duże.

Kobieta tworów jest ozdobą
Zebranych na tym świecie,
Więc w każdym zachwyt budzić musi,
Tembardziej zaś w poecie.

Gdy tylko rankiem się budziłem,
Wnet biegłem do okienka,
Gdzie pochylona nad robótką
Siedziała ma panienka.

Płynęły szybko dni, tygodnie,
Już czułem miłość w sercu
I skrycie marzył, aby stanąć
Z mą lubą na kobiercu,

Lecz los zdradziecki, który plącze
Człowieczych planów motki,
Pewnego ranka przerwał nagle
Mój romans z lubą słodki,

Bo kamienicznik, człek nieludzki,
Barbarus w każdym calu,
Gdym nie zapłacił komornego,
Wyrzucił mnie z lokalu.

Najlepszy interes.

— Słuchaj Moryc, twój interes idzie bardzo źle. Dlaczego go nie zwiniesz? Ja mam nawet dla ciebie lepszy na widoku.

— Mój Izydor, lepsza „plajta" w ręku, niż dziesięć dobrych interesów na dachu.

Kuba i Adolf.

Czasem co jednych śmieszy, to drugim zysk
[sprawia,
Śmiał się Kuba z Adolfa, że weksle wystawia;
Dziś pono całkiem inne uczucie w nim gości:
Adolf urządził plajtę, Kuba mu zazdrości.



Od Administracyi Tygodnika Illustrowanego.

Agentura Tygodnika Illustrowanego w Łodzi, z dniem 1-go stycznia 1905 roku, mieścić się będzie przy **Biurze Dzienników i Ogłoszeń W-go T. Jastrzębskiego, ul. Piotrkowska 103.**

Wszystkich zatem Szan. Prenumeratorów Tygodnika Illustrowanego w m. Łodzi, upraszamy opłacać prenumeratę na 1905 rok, w Biurze W-go T. Jastrzębskiego, ulica Piotrkowska 103.

Przyszłoroczna gwiazdka.

Przedwcześnie o niej myśleć?—powiecie. Niewątpliwie, ale tegoroczne święta są tak bezbrzeżnie smutne, tyle rodzin pokrytych kirem żałoby, tyle setek ludzi, którzy w zeszłym roku przy wigilijnym opłatku wesoło w przyszłość spoglądali — dziś cierpi głód — tyle wogóle nędzy na świecie, że zapomnienie o niej na chwilę i spojrzenie w dal ulgę może przyniesie...

Chwila obecnego przesilenia jest straszną klęską dla kraju naszego, który przeżywa gorączkową przemianę gospodarstwa rolniczego na przemysłowe.

Przemiana ta wymaga nadzwyczajnej baczności, sił wytężonych— uregulowania tego łożyska, w którem płynie bystrym prądem orzeźwiający strumień reform: inaczej przy lada klęsce żywiołowej, fale się piętrzą, występują z brzegów i zalewają powodzią nędzy kraj cały.

Oczywiście rozległe to pole pracy — na jeden więc tylko zagon pragniemy zwrócić uwagę — na brak uregulowania stosunków pracy.

Narzekamy na brak ludzi do roboty, ważnych posterunków pracy niezajętych—moc, a mimo to tylu ludzi bez zajęcia—tylu szuka napróżno pracy, którąby im dała kęs chleba.

Główną tego przyczyną jest brak uczciwego pośrednictwa między pracodawcami a pracownikami.

Jedni i drudzy są na łasce faktorów. Wyzyskiwaczy tych zastąpić powinny biura pracy.

Początek już zrobiony: warszawskie biuro pracy funkcyonuje wybornie, w niektórych miastach i miasteczkach projektują powstanie tego rodzaju instytucyi—łódzkie biura pracy, nietylko w miarę sił, rozwija się dobrze, ale, jak słyszeliśmy, ma przetrwać czas przesilenia ekonomicznego i zostać instytucyą stałą.

Mielibyśmy więc w dwóch największych miastach instytucye pośrednictwa pracy—instytucye, którym należy się bezwzględne poparcie materyalne i moralne całego społeczeństwa.

Wzaraniu jednak swego istnienia biuro pracy mają dwie charakterystyczne cechy, które hamują koło rozpędowe ich działalności.

Pierwszą — to oparcie się wyłącznie na miłosierdziu, na uczuciu litości

Drugą—brak łącznika z całym krajem.

Co do pierwszego przedewszystkiem.

Warszawskie i łódzkie biura pracy istnieją jako wydziały Tow. dobroczynności.

Przeciw tej formie prawnej istnienia nic mieć nie można. Owszem, należy tylko gorąco pragnąć, aby Tow. dobroczynności zakładały biura pracy, które jednak powinny wspierać nie osobniki, pogrążone już w nędzy—ale być komitetem „przeciwżebraczym" —ową klapą bezpieczeństwa, zapobiegającą niebezpieczeństwu szerzenia się zarazy nędzy!

To ma bezpośredni związek z drugim punktem, o którym wyżej wspomniano—z łączuością biura pracy z całym krajem.

Bo biuro pracy — to ognisko, mające skupiać wszystkie czynniki, dostarczające pracę i, wytwarzające nowe jej gałęzie, a wskazujące najlepszych jej wykonawców.

W tak pojętej akcyi konieczny jest udział ziemian, przemysłowców, rzemieślników, mieszkających po za miastem, w którem istnieje Towarzystwo dobroczynności.

W takiem tylko gronie, które od czasu do czasu będzie radzić wspólnie — może się wytworzyć skuteczna pomoc dla łaknących pracy.

O ileby myśl ta znalazła szeroki oddźwięk w społeczeństwie całego kraju—wzmocnią się szeregi członków Towarzystw dobroczynności i zapełnią puste ich skarbce.

Warto więc sprobować właśnie owe koła wciągnąć do wspólnej akcyi, warto skupić się i porozumieć się, aby rzucone w glebę ziarno obfite przyniosło żniwo.

W jaki sposób?

Może zjazd przedstawicieli towarzystw dobroczynnych mógłby być zwołany? Rzucamy tę myśl sferom miarodajnym do rozwagi.

Naszym pragnieniem jest, aby nasze społeczeństwo, niedoceniające wartości pracy, należycie ją oceniło.

W tym kierunku wytężmy wszystkie nasze siły — bo pamiętajmy, że inne narody pracę stawiają jako ideał społeczny.

...Polecam wam—mówi Roosevelt — nie zasady nikczemnego próżniactwa, ale doktrynę życia wytężonego.

Pracujcie sami i synów waszych wychowujcie do pracy! Jeżeli jesteście bogaci, uczcie waszych synów, że chociaż mogą mieć czas wolny, to nie powinni zużytkowywać go na próżniactwo, bo umiejętne korzystanie z wolnych chwil znaczy tylko tyle, że ludzie, zwolnieni od przymusu pracy zarobkowej, są tembardziej zobowiązani oddawać się pracy bezinteresownej w nauce, w sztuce, w badaniach, w poszukiwaniach historycznych—słowem, w tych dziedzinach, których kraj najbardziej potrzebuje i których pomyślny rozwój przynosi narodowi największy zaszczytu. Nie zachwycajmy się człowiekiem, który wcielа w sobie wysiłek zwycięzki, człowiekiem, który nigdy nie czyni nic złego bliźniemu swemu, który jest chętny do pomocy przyjacielowi, ale tym który ma zalety męskie, konieczne do zwycięstwa we współczesnej, surowej walce o byt.

Przykrem jest niepowodzenie, ale stokroć gorszym jest brak próby powodzenia W życiu dochodzimy do wszystkiego tylko za pomocą wysiłku.

W ostatecznym rezultacie zdrowe państwo nie może istnieć, jeżeli mężczyźni i kobiety, które go stanowią, nie prowadzą życia wyraźnego, mocnego, zdrowego, jeżeli dzieci nie są wychowywane w ten sposób, że usiłują nie omijać trudności, lecz przezwyciężać je, nie szukać wypoczynku, lecz wiedzieć jak wydzierać zwycięstwo wśród znoju i ryzyka.

Mężczyzna powinien z zadowoleniem spełniać wolę męża, mieć śmiałość znosić wszystko i pracować. Kobieta winna być gospodynią, towarzyszką założyciela ogniska — matką mądrą i nieustraszoną dzieci zdrowych i licznych.

A więc, współobywatele moi, zwracam waszą uwagę, że kraj nasz wymaga nie życia próżniaczego, ale życia mocnego wysiłku. Staje przed wami w mgle wiek XX., brzemienny losami wielu narodów."

I my w święto Tego, który z pracy stał się niewolnicze piętno — jako ideał postawmy sobie pracę, konieczność życia wytężonego...

Rozpocznijmy to dzieło niezwłocznie, a, miejmy nadzieję, że za rok w lepszych okolicznościach połamiemy się opłatkiem.

Dr. Błeszyński.

Od Redakcyi.

—□—

Nie wdając się w szumne zapowiedzi, zawiadamiamy czytelników naszych, że i w roku przyszłym bronić będziemy tych samych zasad, które ujawniliśmy w kierunku dotychczasowym, a które jednają nam coraz większą liczbę przedpłacicieli, umiejących cenić niezależność zdania i umiłowanie prawdy bezwzględnej, do jakiej osiągnięcia w imię dobra społeczeństwa naszego niezłomnie zdążamy i dążyć, pomimo wszelkie przeszkody i utrudnienia ze strony niechętnych, będziemy.

Wypadki bieżące są tego rodzaju, że każda chwila przynosi i przynieść może doniosłą nowinę z którą radzibyśmy podzielić się jaknajprędzej z czytelnikami.

Wobec tego, jak i ze względu, że powodzenie obowiązuje, postanowiliśmy powiększyć objętość pisma naszego; z dniem więc 28-go wydawać będziemy „Gońca“

dwa razy dziennie.

Zarazem donosimy czytelnikom naszym, iż dla udogodnienia porozumienia się z administracyą pisma naszego w d. 28-go b. m. przenosimy administracyę „Gońca“

do własnego sklepu.

Piotrkowska № 42.

KRONIKA.

—(:)—

= Gwiazdka.

Wczoraj po południu w Ochronie I-szej dla dzieci chrześciańskich przy ulicy Smugowej, odbyła się doroczna gwiazdka.

Uroczystość ta była urozmaicona popisami dzieci jako to tańcami, śpiewami i żywemi obrazami

Przy rzęsiście oświetlonej choince, dzieci obdarowane zostały prezentami i łakociami.

Należy się słowo uznania paniom nauczycielkom wyżej wzmiankowanej ochrony za tak gorliwe zajęcie się dziećmi, co było widoczne na wczorajszej uroczystości.

= Jarmark spożywczy.

Dziś zatem prawdopodobnie cała Łódź, oczywiście owo *tout Lodz* zgromadzi się ogólnie w sali Koncertowej na t. zw. jarmarku spożywczym, z którego zysk wszystek zasilić ma szczupłe fundusze jednej z wielce pożytecznych instytucyj—III ochrony dla dzieci niezamożnych rodziców.

A czego tam nie będzie, na owym jarmarku spożywczym? Począwszy od pięknych „kupcowych“ i jeszcze piękniejsych „kupcówien“, znajdą się na artystycznie urządzonych straganach w sali jarmarcznej artykuły codziennego i świątecznego użytku, a wszystko tak praktycznie zgromadzone, iżby przydać się mogło na zaspokojenie potrzeb gastronomiczno-gwiazdkowych w czasie świąt nadchodzących.

Karota wyłączona, więc można będzie artykuły sprzedażne nabywać tanio, a nawet dzięki zabiegom organizatorek, niżej cen targowych. Można też nietylko kupić, ale sprzedać coś więcej niż poziomy przedmiot spożycia, można kupić.. serce, można sprzedać... rękę. Można też pierwsze zgubić, a drugą znaleźć... Można... można się zakochać z wzajemnością lub bez wzajemności, a nadewszystko można będzie się do syta ubawić, urozmawiać. użartować.

Bo na to „nadewszystko“ organizatorowie jarmarku położyli bardzo ważny nacisk, wychodząc oczywiście z zasady, że „do życia potrzebny jest śmiech“, który zdrowiu pomaga, a duszę w maśle smarzy, zwłaszcza dzisiaj, gdy naokół dobywa się de profundis: Biada! Poświęćmy smutkowi tyle, ile potrzeba, ale nie zapominajmy, że kirami usłana jest droga do rozpaczy, a conajmniaj do... choroby wątroby.

Wdzięczni więc z góry być powinniśmy komitetowi, że pragnie nas orzeźwić zdrojem humoru, bo jakżeby go na zabawie nie było, gdy już w tytułach zaimprowizowanych na jarmark sklepów pełno go mamy. Ze sklepu tedy, który ma na szyldzie „Pod gwiazdą“, możemy pójść do „Posażnej jedynaczki“ (jesteśmy pewni, że będzie w oblężeniu), a stamtąd zawadzić o „Kupca weneckiego“, który zapewne, jak Szyllok, będzie się również starał, aby wykrajać nie jedno, ale serc wiele, potem do „Flirtu“ (polecamy go wszystkim żonatym i wszystkim mężatkom), poczem zatrzymajmy się, jak tego tytuł wymaga przy „Placówce“.

Po porozumieniu się z „Posłańcem nr. 6666“, wejdźmy do „Domu otwartego“, a zabawiwszy tam nieco, obejrzymy „Zaczarowane koło“, z którego nikt nam nie zabroni dostać się do „Zagrody Sobkowej“, poczem utopić smutek w „Miodzie kasztelańskim“, aby zabawić się na „Okrężnem“.

Kulawy „Boruta“ zapewne nie puści nas wolno i chociaż szlachcic, da braci przykład, że łokciem i miarką również można splendor zdobyć i być sąsiadem „Pszczółek“.

Taki właśnie napis będzie nas wabił wspólnie z czarującymi uśmiechy „pszczółek“, które słusznie brzęczyć będą: „Pracy pszczółek ceniąc płody — chodźcie do naszej zagrody!“

Chodźmy też tam, gdzie nawołują „Czem chata bogata, tem rada“, no i—tam, w którym „Dziś za pieniądze, jutro darmo“..

Tyle dowcipu, że trudno o więcej, a nawet z tego powodu ucierpiała nasza oferta, którą pragnęlibyśmy złożyć organizatorom. Oto nie mogliśmy wynaleźć tytułu dla straganu „Gońca“, ile, że nasi przysięgli humoryści wysilili się na humor w numerze dzisiejszym; pomimo to przecież pozwolimy sobie ofiarować 100 egzemplarzy tegoż numeru, jako że i on jest „gwiazdkowy“, a niechaj się i my przyczynimy do urozmaicenia jarmarku.

Zapewne sprzedaży tego numeru podejmie się „Posłaniec 6666“.

= Nowy superintendent generalny.

Redaktor „Zwiastuna ewangielickiego“, pastor I zboru ewangielicko-augsburskiego i członek duchowny konsystorza oraz znany publicysta, Juliusz Bursche, uzyskał zatwierdzenie na stanowisku generalnego superintendenta gmin i zborów ewangielicko-augsburskich w Królestwie Polskiem i wiceprezesa konsystorza warszawskiego tegoż wyznania na miejsce zmarłego w r. b. ś. p. Karola Gustawa Manitiusa.

Nowy generalny superintendent. pastor Juliusz Bursche. jest synem również pastora, zmarłego w Zgierzu w r. b. ś. p. Ernesta Burschego, ukończył w 1884 r. studya teologiczne i filozoficzne w uniwersytecie jurjewskim

W tym samym roku 1884 był ordynowany w Warszawie na pastora i został tutaj wikaryuszem przy generalnym superintendencie, ś p. Waldemarze Ewercie.

Następnie był pastorem w Wiskitkach w ciągu 4 lat, a w grudniu 1889 roku przybył do Warszawy, gdzie został pastorem dyakonem II, a w roku 1899, po śmierci superitendenta Henryka Barcza, został mianowany na urząd pastora I. którego obowiązki będzie pełnił w dalszym ciągn.

Uroczysta instalacya generalnego superintendenta odbędzie się przy udziale całego zgromadzonego zboru i delegowanych specyalnie członków w drugiej połowie stycznia roku przyszłego.

= Jeszcze konkurs XII.

Jak donosi „Kur. Warsz.“, oprócz trzech projektów na dom dla szkoły handlowej w Łodzi, którym sędziowie konkursu przyznali nagrody i czterech poleconych do zakupienia, przyznano jeszcze dwie „zaszczytne wzmianki“

Zgodnie z warunkami konkursu, koperty z nazwiskami autorów projektów, odznaczonych temi wzmiankami, nie mogły być otworzone bez uprzedniego porozumienia się z autorami.

Obecnie, po uzyskaniu ich zgody, koperty otwarto, i okazało się, że autorem projektu pod godłem „Łódź rysowana“ jest p. Roman Bandurski, architekt z Krakowa, autorem zaś projektu pod godłem „Cecylja“ jest p. Hilary Stencel. łodzianin, student architektury w Sztutgardzie.

= O prolongatę.

Objaśnienia nasze do wiadomości o zbiorowem podaniu, które zamierzyli złożyć obywatele łódzcy władzom Tow. kredytowego miejskiego o sprolongowanie rat od pożyczek, wymaga uzupełnienia

Według ustawy, władze Tow. własną mocą nie mogą udzielać zbiorowych prolongat, chociaż jest to pewnem ograniczeniem, o którego usunięciu będzie mowa na stycznioywm zjeździe delegatów Towarzystw kredytowych miejskich w Petersburgu. Delegaci, między którymi będzie również dyrektor biura Tow. łódzkiego, p. Leon Gajewicz starać się będą o nadanie prawa Towarzystwom udzielania prolongat zbiorowych w spłacie rat, zarówno podczas klęsk żywiołowych, jak ogień, powódź itp., jak i podczas przesilenia ekonomicznego

Jak poinformowaliśmy się u źródła, regularna spłata rat obecnie jest konieczna i z tego względu, że Towarzystwo potrzebuje gotówki na skup kuponów od listów zastawnych, które to kupony płatne są co pół roku.

Spłata rat w tym roku następuje ociężalej niż lat poprzednich, to też dyrekcya udziela stowarzyszonym wszelkich możliwych ułatwień, aby spłata owa nie była dla nich ciężarem.

Wogóle dyrekcya przedewszystkiem ma dobro stowarzyszonych na celu i tylko w ostateczności ucieka się do środków energiczniej zych, dowodem czego rzadko zdarzająca się sprzedaż przymusowa nieruchomości i mnóstwo udogodnień, z jakich korzystają stowarzyszeni.

Podanie o prolongatę zbiorową chociaż i wpłynie, dyrekcya bez decyzyi ministeryum skarbu na nie, jak dotychczas, nic uczynić nie będzie mogła, a czy pożądana decyzya może nastąpić—nie jest pewnem, gdyż starania podjęte w swoim czasie przez dyrekcyę nawet o zniżenie kar za opóźnienie terminu spłaty rat, nie zostały uwzględnione.

Jednakowoż od siebie dodamy, że głównie zalegają w opłacie ci z właścicieli domów, którzy spekulują domami lub pieniędzy z komornego używają na rozmaite inne przedsiębierstwa

= Zestow. nauczycieli chrześcian.

Biuro informacyjne zawiadamia, że osoby zgłaszające się do biura (Konstantynowska 5) w bieżącym tygodniu przyjmować będą od god. 7—9 wieczorem następujący dyżurni.

W poniedziałek p. Zawadzki, we wtorek p. Wojciechowska, w środę p. Kajronajtis, w czwartek p. Gontarska, w piątek p. Koziołkiewicz, w sobotę p. Fiszer.

Biuro pośredniczy bezpłatnie.

= Opera i operetka.

Dziś wieczorem w teatrze „Wielkim“, rozpoczyna sezon trupa operowa i operetkowa Juljusza Myszkowskiego.

Pomysł urozmaicenia w ten sposób repertuaru teatralnego — należy do bardzo szczęśliwych.

Myszkowski bowiem oddawna jest znany jako wyborny reżyser i dyrektor operetki, którą przez dłuższy czas kierował we Lwowie w czasie dyrekcyi Hellera.

Powodzenie tej operetki w czasie gościny w Warszawie jest w znacznej części zasługą Myszkowskiego, wybornego autora i pomysłowego reżysera.

W towarzystwie, zorganizowanem obecnie uwydatniły się dobrze te zalety, co publiczność łódzka przed dwoma laty, a warszawska przed kilku miesiącami oceniła.

Dodać należy, że Myszkowski sezon w każdem mieście rozpoczyna utworami Moniuszki.

W imię tej tradycyi dziś odśpiewaną będzie „Hrabina“ z udziałem pani Chotkowskiej, artystki opery warszawskiej w roli tytułowej, a Myszkowskiego w roli Podczaszyca

= Echa wojny.

Donoszą nam z Brześcia Litewskiego, że 14 b. m. rozpoczęła się wysyłka oddziałów szpitalnych na Daleki Wschód. Ostatni eszelon wyrusza z Brześcia w d. 21 b. m. t. j. w nadchodzący wtorek.

Dotychczas wyjechali lekarze łodzianie pp. Ginsberg, Fałk, Maślanka i Kantor.

W d. 20 b. m wyrusza ztamtąd dr Helman, a w d. 21 lekarze dr. Stanisłow Cohn i Weisberg i prow. Kasprzykowski.

Wagony wojskowe, wyruszające na Daleki Wschód są zaopatrzone w duże piece, przy których widnieje napis: „przysposobiony dla dróg chińskich“.

Wszystkie dotychczas wyekspedyowane szpitale mają oznaczoną marszrutę via Wiazma i Samara, ostatnia zaś partya wyrusza w drogę przez Kijów.

W Charbinie podług marszruty ostatnia partya stanie w d. 27 stycznia r. p., gdzie główny inspektor lekarski II armii mandżurskiej wskaże im właściwe miejsca przeznaczenia.

Terenem działań szpitali powyższych będzie prawdopodobnie okrąg nadamurski.

— Powołany na Daleki Wschód lekarz Rago z Noworadomska, z powodu słabego zdrowia został od służby wojskowej zupełnie zwolniony.

— Nadmieniamy, że przesyłki dla całego personelu oficerskiego i lekarskiego mogą być przesyłane bezpłatnie pocztą o ile nie przewyższają 4 funtów wagi.

Większe zaś przesyłki, lecz nie przenoszące 2 pudów, przesyła na teren wojenny klub oficerski sztabu warszawskiego okręgu wojskowego w Warszawie, ulica Królewska nr. 3.

Przesyłki przyjmują się w klubie powyższym stale w poniedziałek, środy i soboty od 11 do 3 popołudniu, wysyłane zaś bywają raz na tydzień.

= Obiady bezpłatne.

Chrześciańskie Tow. dobroczynności wydało w ciągu ostatniego tygodnia ogółem 31,526 obiadów bezpłatnych, oraz 11,186 funtów chleba.

= Ogólne osłabienia.

Następujące osoby uległy ogólnemu osłabieniu:

Na ulicy Zachodniej nr 56 Mojżesz Parkam, lat 40; na ulicy Rozwadowskiej nr. 18, człowiek lat około 40, od którego nie dowiedziano się ani nazwiska, ani adresu; na ulicy Północnej nr. 6, Mendel Szlama, lat 24, pozostający bez zajęcia i mieszkania i na ul. Widzewskiej nr. 26 Marcin Józefciak, lat 21.

We wszystkich tych wypadkach lekarze Pogotowia udzielili chorym doraźnej pomocy

= Zagorzenie.

Na ul. Długiej nr. 99 woźnica, niedawno przyjęty do służby, lat około 20, którego nazwisko niewiadome, położył się spać w pokoiku dla niego przeznaczonym, przedtem jednak napalił sobie w piecu.

Dziś rano znaleziono go w stanie nieprzytomnym, którego przyczyną było zagorzenie.

Natychmiast więc zawezwano Pogotowie, które zajęło się ratunkiem.

Chorego w ciężkim stanie zdrowia odwieziono do szpitala Czerwonego Krzyża.

= Amatorka gęsi.

Onegdaj przy szabasie żona piekarza z ul. Północnej nr. 12 Mordki Linderman upiekła gęś, nadziewaną jabłkami zostawiła ją w izbie a sama poszła zaprosić męża na obiad.

Jakież było rozczarowanie Lindermanów gdy, wszedłszy do izby, nie zobaczyli już gęsi na stole.

Okazało się, że gęś pieczoną skradła Bracha Szmuc, którą schwytano.

Niestety Lindermanowie musieli obejść się smakiem, bo Bracha gęś zjadła. Odebrano jej tylko rondel.

= Skradziona koza.

Paweł Malecki ukradł kozę Mordkowi Podberskiemu, mieszkającemu przy ul. Sredniej nr. 63.

= Kradzież bielizny.

Esterze Silberich mieszkającej przy ul. Franciszkańskiej nr. 7 i Tomaszowi Kłomkowskiemu (Pańska nr. 1) skradziono ze strychu bieliznę.

= Ujęci złodzieje.

Wczoraj aresztowani zostali złodzieje, Josek Senator, Moszek Jakobsohn, Maurycy Jakóbowicz i Józef Makowski.

Stwierdzono, że oni to właśnie popełnili głośne w swoim czasie kradzieże w sklepach Przytyckiego, Pilichowskiego i Kreczmera.

Skradzione towary złoczyńcy sprzedawali Judce Szmulewiczowi.

= Pożar.

Wczoraj o godzinie 7 rano w farbiarni małej fabryki Stepanowa przy ul. Zimmera na Bałutach, zapaliła się bawełna. Ogień ugasili robotnicy.

= Konfiskata mięsa.

Kontrolerzy rzeźni skonfiskowali wczoraj 3 pudy 10 funtów mięsa niestemplowanego należącego do Ryszara Libnera i Ludwika Neumarka.

Mięso pochodziło z Turku.

— Andrejczak, zamieszkały przy ulicy Łagiewnickiej № 17, przewoził mięso niestemplowane z Radogoszcza do domu na róg Benedykta i Piotrkowskiej.

Mięso zostało skonfiskowane.

= Ziarno.

Dziś odbędzie się ogólne zebranie stowarzyszenia spożywczego „Ziarno“.

Zebranie odbędzie się w szkole Rzemiosł (ul. Wodna nr. 9).

Początek o godz. 4 po poł.

Teatr, muzyka i sztuka.

* Wczoraj na scenie teatru „Victoria“ odegrano „Śnieg“ Przybyszewskiego Była to właściwie premiera, bo przedstawienie przed dwoma laty, w którem wzięli przeważnie udział niedoświadczeni aktorzy z głębokiej prowincyi—nie może iść w rachubę.

Wczoraj piękność poematu — bo takim jest „Śnieg“ niezaprzeczenie — ukazały się w całej pełni dzięki udziałowi Siemaszkowej w roli Bronki, która w ostatnim akcie subtelnością gry oczarowała licznie zgromadzoną publiczność.

Dziś „Śnieg“ po raz drugi i, z udziałem Siemaszkowej, ostatni.

* Dziś popołudniowe popularne przedstawienie wypełni „Zemsta za mur graniczny“ Fredry.

* Wczoraj w teatrze wielkim odbył się koncert znakomitego fortepianisty Marka Hamburga.

Grą swoją młody artysta wzbudził prawdziwy entuzyazm wśród słuchaczy, którzy z wielkim zapałem domagali się nadprogramowych dodatków, których nieszczędził znakomity pianista.

Najbardziej podobały się: Sonata B-moll, Chopina i Rapsodya 2 Liszta, w których dość licznie zebrani słuchacze mieli sposobność podziwiać znakomitą technikę koncertanta.

g.

TELEGRAMY

Agencyi Rosyjskiej, dn. 18 GRUDNIA.

Petersburg. W okresie czasu od d. 14-go listopada do tejże daty grudniowej roku bieżącego wskutek Najpoddańszych raportów ministra sprawiedliwości z liczby osób, ulegających karze za przestępstwa państwowe, uwolniono od kary 197 osób zmniejszono karę 13 oskarżonym.

Petersburg. Z powodu szkodliwego kierunku pisma „Russkaja prawda“, p. minister spraw wewnętrznych postanowił udzielić pismu pierwszego ostrzeżenia z zabronieniem sprzedaży numerów oddzielnych.

Z PLACU BOJU.

Petersburg. Najpoddańszy telegram generała-adjutanta Kuropatkina.

„Raportów o starciach bojowych w nocy na d. 17 bm. nie składano. Mróz znowu powiększył się do 14 stopni.

O powyższem najpoddaniej donoszę Waszej Cesarskiej Mości“.

Petersbug. Telegram generała-adjutanta Sacharowa do głównego sztabu:

„W nocy na 18 b m. raportów o starciach bojowych nie składano. Mróz w nocy przenosił 15 stopni“.

Mugden. Korespondent Reutera przy głównej rosyjskiej kwaterze telegrafuje:

Szerzące się w rosyjskiej i europejskiej prasie pogłoski o dającym się uczuwać w armii mandżurskiej braku prowiantu i ciepłej odzieży są kłamliwe.

Na terenie działań wojennych zmian niema.

WIEŚCI z PORTU ARTURA.

Tokio. (Reuter) Według telegramu z Portu-Artura gen. Stessel rozpoczął z japończykami układy co do ochrony szpitali przed bombardowaniem. Generał dostarczył wodzowi japońskiemu Nogi plan rozlokowania szpitali

Czifu (Reuter). Rosyanie, którzy przyjechali z Portu Artura potwierdzają prawidłowość rządowych biuletynów japońskich o dokonanem niedawno zniszczeniu statków rosyjskich.

Oświadczają, że japończycy mieli możność zniszczenia floty rosyjskiej przed dwoma miesiącami, ale zapewne uważali za stosowne zwrócić działa na twierdzę. Zniszczenie floty wskazuje, że japończycy stracili nadzieję zdobycia Portu Artura. Japończycy w zeszłym miesiącu stracili trzy torpedowce, które wysadzone zostały minami; trzeci zatopiony został w czasie ataku w nocy 14 b. m. Bitwa po której zdobyta została Wysoka Góra kosztowała japończyków 12,000 ludzi.

Góra ta może służyć japończykom tylko jako punkt obserwacyjny. Japończycy nie zdobyli ani jednego głównego fortu. Trzy parostatki naładowane żywnością i amunicyą przerwały blokadę. Wciągu ostatnich dwóch tygodni nadzieja rosyan, że garnizon Portu Artura nie podda się przez kilka miesięcy wzrasta co raz więcej i więcej. Japończy upadają na duchu wskutek olbrzymich strat bezowocnych.

Przyjezdni rosyanie wyjechali z Portu Artura wczoraj. Ucierpieli oni okropnie wskutek zamieci, omal, że nie zmarzli; bez pomocy nie mogli wyjść na brzeg. Przywieźli mnóstwo depesz urzędowych.

Z POWODU WOJNY.

Szanchaj. (Reuter) Marynarz rosyjski zabił wczoraj chińczyka. Konsul rosyjski wysłał go na statku „Askold“ dla oddania go w ręce sądu wojennego

Pekin. (Reuter). W tej wojnie nikt nie troszczy się o godny pożałowania los ludności chińskiej. Około 30,000 zbiegłych chińczyków znajduje się w Mugdenie.

Chińczycy w Pekinie i Tiancynie otworzyli listę składek na zakupienio dla nich ciepłej odzieży. W Tiencynie zebrano 30 tys. kożuchów skórzanych, gotowych do wysyłki do Mugdenu. Władze wojskowe japońskie protestują przeciwko takiej wysyłce obawiając się, że rosyanie skorzystają z tego towaru. Japończycy grożą kanfiskatą w razie pochwycenia tych przedmiotów.

Rosyanie zaświadczają, że ciepła odzież zostanie doręczoną potrzebującym chińczykom, lecz japończycy nie zadowalniają się tem zaświadczeniem.

Położenie tej rzeczy strasznem jest dla chińczyków. Wioski zburzone, zasiewy zniszczone; zapasów mało, los ich ciężki. W kołach chińskich panuje rozgoryczenie, wskutek niemożności przyjścia z pomocą rodakom.

Tokio. (Reuter). Jutro zostanie przedstawiony parlamentowi projekt rządowy budżetu wojennego. Komisya budżetowa ograniczyła wysokość rozchodów do 14 milionów jen.

FLOTA BAŁTYCKA.

Petersbug. Komisarz rosyjski do sprawy zajścia hulskiego, wice-admirał Kaznakow, jak również delegowani do tejże komisyi: baron Taube, Sztenger, Mandelstamm, czterech oficerów marynarki oraz świadkowie w tej sprawie mianowicie: Kłado, Ott, Ellis i Szramczenko wyjeżdżają dziś Nord-expressem o g. 6 wieczorem do Paryża.

D kar. Przybył krążownik rosyjski „Terek".

*

ZGON Ks. RADZIWIŁŁA.

Berlin. Książę Antoni Radziwił, rażony onegdaj wieczorem apopleksyą, zmarł, licząc lat 74.

Berlin Dzienniki wczorajsze poświęcają serdeczne wspomnienia zaufanemu przyjacielowi cesarza Wilhelma I, podnosząc towarzyskie przymioty zmarłego, jego wesoły temperament i wolne od uprzedzeń poglądy.

Przypominają one epizod, który zjednał przypadkowo ks. Antoniemu rolę w historyi pruskiej.

On to w lipcu r. 1870, jako adyutant króla Wilhelma pruskiego, zakomunikował posłowi francuskiemu w Ems, Benedettiemu, odpowiedź królewską, która wywołała wojnę niemiecko-francuską

*

Ś. p. Antoni Fryderyk Wilhelm ks. Radziwiłł, senior tego domu arystokratycznego, urodził się 31-go lipca 1833 r. w Cieplicach. jako syn Fryderyka Wilhelma ks. Radziwiłła, generała piechoty, szefa inżynierów wojska pruskiego, generała-adjutanta króla pruskiego, naczelnego inspektora twierdz państwa pruskiego, i Matyldy Krystyny hr. Clary et Aldringen.

Przez babkę swoją, Antoniową ks. Radziwiłłową, z domu Ludwikę ks. Pruską, spokrewniony blisko z dworem pruskim, zajmował na nim ś. p. Antoni ks. Radziwiłł wybitne i wpływowe stanowisko, zwłaszcza za życia starego cesarza Wilhelma.

Zmarły był jednym z największych posiadaczów ziemskich na Litwie, jako XII ordynat nieświezki w gub. mińskiej i XI ordynat Klecki, właściciel Dawidgródka, hrabstwa Cimkowicz i dóbr Hresko i Stołowicze w gubernii mińskiej i wielu innych.

W hierarchii wojskowej ś. p. Antoni ks. Radziwiłł doszedł w Prusiech do wysokiego stanowiska generała-adyutanta cesarza niemieckiego, mianowany na tę godność przez Fryderyka III.

Zmarły ordynat nieświezki osierocił czworo dzieci.

Najstarszym synem zmarłego jest Jerzy Fryderyk Wilhelm Paweł Mikołaj ks. Radziwiłł, ożeniony z Maryą hr. Branicką z Białej-Cerkwi, liczący dziś lat 44.

Rodzeństwo obecnego ordynata ks. Jerzego stanowią Elżbieta Romanowa hr. Potocka, małżonka ordynata na Łańcucie, Helena Józefowa hr. Potocka z Antonin, wreszcie, Stanisław ks. Radziwiłł; przyp. Red.)

Dział Szaradowy.

Wielka nagroda.

Szarada № 1.

Pierwszy w Anglii oddawna
Bardzo wiele znaczy,
Drugi trzeci to wyraz
Bólu i rozpaczy;
Wszystek, chociaż to niby
Śmietanka jest ludu,
Nie unika, niestety,
Skandalu i brudu

Szarada № 2.

Pierwsze wspak,—drugie
Dziś są bardzo w modzie
Gdy chcesz co kupić
Nawet w naszym grodzie,
Trzeci wspak dawnym
Rycerzom był znany
I w walkach z wrogiem
Przez nich używany.
Wszystko znajdziecie
Przeglądając „Goniec".
Więcej nie powiem:
Tu szarady koniec.

Szarada № 3.

Piewsze drugie miasto,
Miasto **drugie pierwsze**,
Kto zna geografią,
Od adnie te wiersze.

Kto odgadnie wszystkie rzy powyższe szarady na pocztówkach illustrowanych i rozwiązanie nadeśle najwcześniej, otrzyma jako nagrodę **150** pocztówek illustrowanych i **3** tomy powieści Druga nagroda **100** pocztówek illustrowan. Trzecia nagroda **40** pocztówek illustrowanych. Czwarta nagroda **25** pocztówek illustrowanych.

Nagrody w pocztówkach illustrowanych oddzielnie dla Łodzi, oddzielnie dla prowincyi.

Rozwiązanie szarady zamieszczonej w № 341 Gońca:

Man-do-li-na.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Łodzi: pp. Janina Sals'a (na 15 poczt.), Laurencya (wiersz), Ludwik T. (wł. rys.), A. Szczupak, Wanda Brukalska (wł. rys.) S. B. (wierszem), S. Krüger, Hajot, Juljan Helena Rozenberzanka (udatny wiersz), Elina Wieśniaczka, Aleksandra, Lenk, Roman Lenartowski. Jadzia Toruńczykówna, Hela Niezapominajka, Helena Bochwicz, W. Leśniewska, Franciszek Winkler, Jan Wróblewski, Janka Czerniaków, Stefan Pokoj, Paweł Wiszniewski, Adolf Klaczkin, Milusińska, Zygmunt M., Kazio Makow, Wacław Gryger, Zygmunt I..ski, Wanda Czarnecka, S. Łuba, Bronisława Jedlicka, Don Juan, Ant. Tym., Rózia, Sala i Arturek Jedliccy, J. Mikołajłys, Lola Rzepkowicz, Zochna Jaskółowska. Bezatu (wierszem) M. Skolimowski, W. Sob, K. Pryliński, L. Kajrunajtys, Henio Nadel, Bronisł. Netzel, Jakób Kolski, Kazimierz Tomaszewski, Franciszek Repliński, Romek Majewski, Lud. Jaworski, I. Jany, K. S..ski.

Z Warszawy: pp. Helena Kłoss, Irena Dowgird.
Ze Skierniewice: p. X. B. Kar.
Ze Zgierza: p. Józef Miętkiewicz.
Z Koluszek: p. Aniela Gardecka.
Z Pabjanic: pp. A. Weber (wierszem) i Konrad Glinkiewicz.
Z Nowo-Radomska: p. F. Kołczyńska.
Z Opoczna: p. Maryla Paprocka.

Nagrody otrzymują:

Z Łodzi: panilr. ena Salska 50 poczt. pani Helena Rozenberżanka 20 poczt. pani Laurencya 15 poczt.
Pabjanic: p. A. Weber 30 poczt.

Prócz tego za ładny widoczek własnoręcznie malowany przyznajemy p. Wandzie Brukalskiej z Łodzi—kalendarz humorystyczny „Łodzianka" na 1905 rok.

Nagrody do odebrania w redakcyi codziennie.

Odpowiedzi działu Szaradowego.

p. Wisz Nienadają się.
p Jonas. Niezrozumiałe.
p. Lenk.: Nieskorzystamy.
p. S. B. . Dziękujemy. prosimy nas i nadal zasilać.
p Bezatu. Dziękujemy—prosimy o nas pamiętać i na przyszłość.
p. Zygm M Nienadaje się. Pisze się „Chiwa".

Grz. Boj.

Nieurzędowy (tymczasowy) wykaz wygarnych.

Wczoraj, w 8-ym dniu ciągnienia V klasy 183 loteryi klasycznej Królestwa Polskiego.

Dnia 17-go grudnia 1904 roku.

Rubli **4000** na № 13401 u kol. Białkowskiej w Warszawie.

Rubli **2000** na № 2039 u kolekt. Koszelew w Warszawie.

Rubli **2000** na № 8567 u kolekt. Orchowskiej w Warszawie.

Rubli **2000** na № 17775 u kol. Janowskiej w Warszawie.

Rubli **2000** na № 8888 u kolekt. Pawłowskiego w Warszawie.

Rubli **2000** na № 9267 u kol. Reinharpt w Łodzi.

Rubli **1000** na № 19394 u kol. Czerwonego Krzyża w Warszawie.

Rubli **1000** na № 14981 u kol. Chotkowskiej w Warszawie.

Rubli **1000** na № 20989 u kol. Gutman w Warszawie.

Rubli **1000** na № 13907 u kol. Tomczyckiej w Warszawie

Po rubli **400** wygrały N-ry:
4518 5019 5653 6354 8032 9682 13099 13670 15152 18541 21059 21779 22849.

Po rubli **200** wygrały N-ry
162 1431 6362 7954 8367 9101 9811 11309 12713 15018 16209 20 85 20924 22053.

Po rubli **100** wygrały N-ry:
2119 2315 2349 3357 3749 4034 5726 5771 7927 8232 8725 9643 10149 11084 11533 11589 12053 12959 13475 14824 16364 18316 20244 21867 22097 23018 23211.

Franciszek HESSE

Magazyn ubiorów męzkich, oraz krajowych i zagranicznych towarów.

Wykonywa obstalunki z punktualnością.

POLECA:

na nadchodzący sezon towary zimowe najświeższej mody.

ul. Przejazd 12, vis à vis Cyklistów.

M. LISIECKA

Skład apteczny i perfumerya.

ul. Piotrkowska № 50

Poleca na nadchodzące święta wielki wybór PERFUM, MYDEŁ i KOSMETYKÓW. Oraz towary apteczne, opatrunkowe.

Wody mineralne.

Wiktor BRATKOWSKI

b. długoletni współpracownik magazynu żyrardowskiego w Łodzi.

Piotrkowska № 89.

Gotowa bielizna męska. Wyroby pończosznicze.

zaopatrzony skład swój na sezon bieżący i poleca **Wyroby Żyrardowskie:**

Płótna na koszule, prześcieradła, stołową bieliznę, ręczniki, ścierki do szklanek i kurzu, chustki do nosa białe i kolorowe, płótna na fartuchy i gotowe fartuszki.

Białe stołowe garnitury z szerokim obrębem i á jour szlakiem. Kolorowe garnitury do kawy i herbaty. serwety w nowych kolorach i deseniach Materyały na materace, płótna na wsypy, płótna surowe i niebieskie na bluzy, maglowniki. Sienniki gotowe. Wyroby bawełniane, barchany etc.

Kołdry watowe własnego wyrobu wełniane i jedwabne. Kołdry pluszowe, kapy na łóżka białe i kolorowe. Prześcieradła i ręczniki kąpielowe.

Skład piwa i porteru

A. Domański Łódź,

ul. Benedykta № 13 — Telefonu 736.

Poleca na nadchodzące święta,

znane wyborne gatunku piwa, a mianowicie, Pilżeński, Monachijskie i Porter z **Browarów Parowych** C. Strycki w Rydze.

Restauracya „Grand Hotel"

POLECA:

wykwintne obiady i kolacye oraz wszelkie delikatesy i nowalie sezonowe. Piwnice bogato zaopatrzone.

Piwa zagraniczne:

Pilzeńskie oryginalne i Monachijskie oryginalne.

Piwa krajowe:

z browaru **Stryckiego** w Rydze — jasne, z browaru Zenona Anstadta w Zduńskiej Woli—ciemne i jasne.

Nadto poleca swój lokal i obszerną salę koncertową na zebrania familijne i towarzyskie. Na życzenia dostarcza wyborowe kolacye i obiady do domów.

Proszę korzystać z okazyi!

Z powodu stagnacyi w handlu

Wielka WYPRZEDAŻ

3500 par najlepszego obuwia, z odstąpieniem **25 proc.** rabatu z cen fabrycznych, wyprzedaje Warszawski oddział fabryki obuwia

N. Z. Leiserman i Syn

Łódź, Piotrkowska 79. 706

CUKIERNIA

J. Szmagier i E. Bartsch,

Piotrkowska 47, róg Zielonej

poleca

Wielki wybór cukrów ozdobnych, owoców i jarzyn marcepanowych, figurek czekoladowych cukrów likworowych. Przyjmuje zamówienia na Strucle z makiem i masą migdałową, orzechową, pistacyową, z komfiturami, maślane. Baby petinetowe, parzone, piaskowe, czekoladowe i pączowe. Placki różne Pierniki własnego wyrobu na czystym miodzie. Masy: migdałowe, orzechowe i pistacyowe na funty.

Cukry deserowe. Czekoladki i herbatniki. Torty, tace ciast, lody, kremy i t. p.

Dr. Józef Brudziński

choroby dzieci,

ul. Spacerowa № 27.

Przyjmuje od godz. 3 do 4 po poł

PERFUMERIA M. KRELL

Łódz, Piotrkowska 43

poleca: MYDŁA toaletowe, PERFUMY, KOSMETYKI, BOMBONIERKI z perfumami, krajowe i zagraniczne, **po nader nizkich cenach**, a także **SWIECZKI choinkowe z lichtarzykami.** 644

Dr. H. Szumacher

choroby weneryczne i skórne,

NAWROT № 1A.

Przyjmuje od 9—11, 5—8, PANIE od 4—5 popołudniu. 639

Zaliczenie kolejowe,

№ 9320 na Rb. 120.60, nr. frachtu 198368 st. Połock R. Or. Jak. Wald pr. S. H 136 1 kip. tow weln. 1 34/… f, z dn. 11 października st st. 1904 roku, wagonu № 13414 zaginęło. Znalazcę uprasza się o odesłanie do Augusta Teschicha, № 64 przy ul. Widzewskiej. 651

Ogłoszenie.

Rządca drukarni poszukuje samodzielnego zarządu drukarnią, mając długoletnią praktykę w Rossji i Zagranicą—a także znajomość języków polskiego, rossyjskiego, francuzkiego i niemieckiego, jak również gruntowna znajomość sztuki drukarskiej—daje mi możność prowadzenia samodzielnie porządną.— Adresować proszę Warszawa Nowy Świat № 61, u Lekarza Dentysty W-go St. Strognowskiego dla W. Dzwigalskiego.

Drobne ogłoszenia.

Zginęła książka paszportowa № 580, wydana na imię Szmula Gliksmana, z gm. Dąbie pow. Kolskiego gub. Kaliskiej. 694

ZAGINĄŁ PASZPORT, wydany na imię Waleryi Kapica, z gminy Odmienin, pow. No oradomskiego.